Nr. 48. Warszawa, dnia 28 (16) Listopada 1891 r. **Rok XI.**

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY“
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8 z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 10

Adres: Marszałkowska (róg Żórawiej) Nr. 95.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

POLITYKA.

PODRÓŻ DYPLOMATYCZNA.

Tegoczesny reporter polityczny, który nie zadawala się wiadomością, jak trawa rośnie, który ma pretensyę do posiadania czapki niewidymki, do przenikania swym wzrokiem i słuchem najgrubszych murów, nie może w żaden sposób pogodzić się z myślą o tem, ażeby istniała jakakolwiek tajemnica dla niego niedostępna. Gdybyśmy dwu dyplomatów osadzili w naczyniu tak szczelnem i posiadającem tak grube ściany, jak bańki do przechowywania skroplonego wodoru i gdyby oni porozumieli się w tem zamknięciu na migi, z pewnością nazajutrz znalazłby się reporter, któryby najdokładniej opowiedział światu treść ich rozmowy. Nic też dziwnego, że poufny dyalog między ministrem Giersem a Rudinim również został pochwycony przez wszędobylskie uszy. Ale widocznie improwizacya nie miała szczęśliwego natchnienia, bo przebrzmiała szybko. Wtedy korespondent *New-York Heralda* ogłosił swoją własną rozmowę z p. Giersem. Otrzymał on na swoje pytania odpowiedzi we wszystkich ważniejszych sprawach: stosunków Rosyi do Francyi, Niemiec, Bułgaryi, przyszłej wojny itd. Wprawdzie minister ruski natychmiast polecił zaprzeczyć w gazetach temu zmyśleniu i oświadczyć, że żadnego korespondenta *New York Heralda* u siebie nie przyjmował, ale to nie pokonało reportera. Jako duch wszechobecny i wszechwiedzący, mógł on przecie znaleźć się w mieszkaniu p. Giersa niewidzialny i wydobyć mu z głowy najskrytsze myśli. W języku wykrętów dziennikarskich, używanych po zdemaskowaniu, brzmi to tak: „realne warunki rozmowy mogą być zmyślone, ale jej treść odpowiada wiernie naturze położenia.“

Z Włoch przez Wiesbaden pojechał p. Giers do Francyi. Wyśledzono najściślej, jak długo bawił u Carnota, u Freycineta i Ribota i podkreślono fakt, że u tego ostatniego najdłużej. Te daty były niezawodne, ogólnie stwierdzone, ale nie uczyły niczego. Naturalnie reporterzy nie mogli pozwolić, ażeby tajemniczość szydziła z powszechnej ciekawości. Puścili więc w obieg dwa sprzeczne z sobą „odkrycia,“ zarówno poręczone w swej wiarogodności, z których jedno musi być istotnie rzetelne, mianowicie, że minister ruski przywiózł z sobą piśmienną umowę i nie przywiózł żadnej. I gdyby tylko udało się odgadnąć, które z tych twierdzeń jest prawdziwe, rzeczywiście świat dowiedziałby się bardzo dużo. Ale cała trudność tkwi w tem — które!

Jadąc z Francyi na drodze powrotnej wstąpił p. Giers do Berlina, gdzie był przyjęty przez cesarza i odwiedził ministrów. Pomimo wszakże zabezpieczenia się od wszelkich „interviewerów,“ musiał przed nimi zdradzić się i wyznać, że przybył w zamiarze odzyskania dla pożyczek ruskich pieniężnego rynku niemieckiego, który się od nich odwrócił. Skąd reporterzy o tem wiedzą, nie objaśniają, ale wiedzą.

Bądźmy sprawiedliwi. Śród tylu przypuszczeń, domysłów i zgadywań, ten i ów trafił w prawdę, wszakże najpewniejszym faktem pozostaje to, że p. Giers objechał Europę jak dyplomata, tj. żadnego reportera nie przyjął, żadnemu z niczem się nie zwierzył i szlak swej drogi poznaczył pytajnikami. Każdy mąż stanu, podróżujący w celach politycznych lub prywatnych, wie, że go obskoczą agenci prasy na każdym kroku, a znalazłszy drzwi zamknięte, wślizną się dziurką od klucza lub kominem; każdy pojmuje niebezpieczeństwo zdrady tajemnic i wystrzega się gadatliwości. Wszyscy jednak, czyniąc ustępstwo dla „szóstego mocarstwa,“ dla prasy, której usług pożądają a wpływów nie lekceważą, przyjmują dziennikarzów i tylko usiłują możliwie najzręczniej wymknąć się ich sidłom. P. Giers nie przywykł do tych obyczajów, nie uznał za potrzebne czynienia im ustępstw, odciął się od natrętów i zamknął się w bezwzględnem milczeniu. Chociaż więc jego podróż tak długa i z tylu spotkań urzędowych złożona, miała niewątpliwie znaczenie polityczne, nikt nie umie określić, na czem ono polega. Korespondencye i artykuły gazet zagranicznych, dające rozwiązanie tej zagadki, są tylko pasmem dowolnych przypuszczeń i kombinacyj. Żadnej pewności nikt dotąd nie zdobył. Być może, iż później, gdy okoliczności zdejmą z ust pieczęć tajemnicy, a nadewszystko gdy dalsze przechowywanie jej stanie się niewygodnem, we Francyi, Niemczech lub Włoszech zaczną wypływać objaśniające półsłówka i całe słowa; tymczasem panuje zupełna dyskrecya. Czy p. Giers osiągnął swoje cele w sprawach politycznych — rozumie się, nie wiemy; ale że udało mu się odbyć podróż istotnie dyplomatyczną, to jest osłonięta w zamiarach i skutkach, to nie ulega wątpliwości.

Z GALICYI.

Dzienniki doniosły już o ostatniej klęsce Koła w sprawie decentralizacyi kolei galicyjskich. Żadna z najważniejszych potrzeb kraju, o których pisaliśmy w poprzednim liście, nie została uwzględniona. Rzekome zaś „koncesye“ rządu mają bardzo podrzędne znaczenie. Pojmujemy zupełnie radość *N. Fr. Presse* i głęboko odczuwamy

„porażkę,“ którą poniosła nietylko polityka Koła, lecz rzeczywiście, a doniosłe interesy Galicyi. Czy wobec tego zerwie ono raz z systemem bezwarunkowego popierania rządu, który nie chce, czy nie może zaspokoić jej potrzeb? Na pytanie to daje odpowiedź ostatnia uchwała: „Koło w zaufaniu *poddaje się* woli monarchy.“ Oto wszystko, co zdziałano w tej sprawie. Smutne nasze z powodu tego położenie osłodzić chcą półurzędowcy usprawiedliwieniem swego pana, który „inaczej postąpić nie mógł wobec groźnej sytuacyi politycznej.“ Przyzwyczailiśmy się do tego, że w takich wypadkach straszą nas, jak dzieci, brzękiem broni. W miarę potrzeby przedstawiają raz stosunki w „różowem świetle,“ to znowu w „ponurem-groźnem,“ a położenie kraju pozostaje zawsze nieszczęśliwe. Głównym powodem, dla którego żądanie decentralizacyi zostało odrzucone, były względy wojskowe. Alež w takim razie przynajmniej wszystkie żądania, które z tymi względami nie miały nic wspólnego, powinny się były utrzymać. Ponieważ jednak i takie nawet odrzucono, dowodzi to najlepiej, iż nie same tylko wojskowe, ale i polityczne czynniki przechyliły szalę na niekorzyść naszą. Wszak taryfy z kwestyą obronności monarchii nie mają nic wspólnego. Taryfy — to albo podźwignięcie, albo upadek naszej produkcyi. Koło było przynajmniej szczere i powiedziało wyraźnie: życzenia nasze musiały ustąpić przed wolą monarchy. Wobec tego, jakże nędzną rolę odgrywają te organy, które okłamują kraj, wznosząc tryumfalne pienia na cześć Koła, obwieszczając światu odniesione „zwycięztwo“ posłów. Czy to ciasnota umysłowa, czy zatracenie wszelkiej w sobie niezależności länderbankowiczów, czy to już taka natura przedpokojowca, który zawsze przekracza po za granice godziwego „poddania się“?

O wiele donioślejsza jest druga sprawa, w której Koło odegrało rolę upokorzającą. Oto oświadczyło się przez swego delegata w komisyi przeciwko jakiejkolwiek zmianie ordynacyi wyborczej, a w szczególności przeciwko zaprowadzeniu głosowania powszechnego. Wymówka, że ów przedstawiciel, hr. Stadnicki, złożył oświadczenie bez uchwały Koła, nie ma żadnej wartości, skoro ono nie zaprzeczyło faktu publicznie, większość bowiem jest tego samego co pan Stadnicki, kroju. Ażeby ocenić krzywdę, wyrządzoną krajowi przez jego reprezentantów, dość przypatrzyć się bliżej dziwolągom naszej ordynacyi wyborczej, które odsłonił I. Franko. Trzydzieści lat minęło od wprowadzenia u nas wyborów do ciał parlamentarnych, których ojcem był, jak wiadomo, Schmerling. Stan oświaty ówczesnej i namiętności polityczne usprawiedliwiały może poniekąd arytmetykę wyborczą tego „liberała,“ która miliony ludu, opłacającego podatki krwi i imienia, czyniła zerami. Już wtedy ludzie pracujący uznawali za niesłuszne nadawanie prawa obywatelskiego osobnikom, choćby najciemniejszym i największym próżniakom, byle tylko urząd podatkowy z tytułu ich majątku obdarzał ich arkuszem podatkowym. Powtarzające się co trzy lata wybory do sejmu i do Rady państwa wykazały w ciągu 30 lat całą szkodliwość ograniczeń, na które ustawa skazuje masy ludu wiejskiego i mieszczan. Chłop, gospodarujący na 15 lub więcej morgach gruntu, rzemieślnik, posiadający oprócz warsztatu nieruchomość, fabrykant, urzędnik państwa, kraju i gminy, aptekarz, notaryusz, lekarz, adwokat, ksiądz, słowem cała inteligencya nie ma do dziś dnia prawa głosowania bezpośredniego na posła w okręgach posiadłości mniejszych, podczas, gdy ta sama kategorya ludzi, pod względem wykształcenia i wartości moralnej nieraz o wiele niżej stojąca, ale zamieszkała we Lwowie, Krakowie i t. p. miastach, korzysta z tego prawa! Doktór medycyny w Krakowie idzie na ratusz i składa swój głos, koledze zaś jego przypadkiem w Żółkwi osiadłemu wolno głosować tylko na wyborcę, który dopiero pod wpływem najrozmaitszych czynników policyjno-administracyjnych ma prawo wyboru posła! Gdzież tu słuszność, sprawiedliwość lub choćby tylko logika? Co więcej, ten sam doktór medycyny, który np. w Buczaczu przy wyborach do Rady państwa rzuca do urny kartkę z nazwiskiem posła, pozbawiony jest tego prawa przy wyborach do sejmu dlatego jedynie, że ordynacya wyborcza do Rady państwa zaliczyła Buczacz do okręgu miejskiego, a ordynacya wyborcza do Sejmu zaciągnęła go do okręgów wiejskich, gdzie każdy uprawniony do głosowania nie jest wyborcą, ale tylko prawyborcą, tj. zniewolonym wybierać nie posła, ale wyborcę do głosowania na posła. Taką nielogiczność znosimy przez lat kilkadziesiąt, a miliony obywateli pokrzywdzonych nie upomniało się dotąd o sprostowanie tych niesłychanych nierówności, choć je wszyscy czują żywo. Różnica losu i praw politycznych, jakich doznają wyborcy w okręgach wiejskich w porównaniu z miejskimi, staje się jeszcze bardziej jaskrawą, jeśli trafia jednę i tę samą osobę. Prosimy rozważyć: doktór praw, który nie będąc jeszcze adwokatem, odbywa praktykę u mecenasa lwowskiego, używa praw politycznych w całej pełni, i gdy wypadną wybory do sejmu lub do Rady państwa, ciska do urny swój głos wprost na tego, którego chce mieć posłem. Ten sam doktór praw, zdawszy egzamin adwokacki, otwiera kancelaryę w Dolinie na własną rękę, staje się sam mecenasem, i ani się nie obejrzał, a już stracił to prawo polityczne, które posiadał we Lwowie jako dependent, gdyż wolno mu głosować tylko na wyborcę jakiegoś Srula, który jako pełnomocnik jego uważa przedewszystkiem wybór poselski za „geszeft“ dla siebie lub oddaje głos temu, kogo mu wskaże policya. Człowiek pełnoletni we Lwowie staje się małoletnim z chwilą przesiedlenia się na prowincyę i pozbawiony praw, które mu przysługiwały w stolicy. Sekretarz, który 1890 r. głosował we Lwowie bezpośrednio na czterech posłów, awansowawszy w styczniu r. 1891 na starostę powiatowego, wskutek tego faktu stracił tam prawo głosowania nawet na jednego posła i wolno mu korzystać z tego prawa tylko za pośrednictwem prawyborcy, który nieraz dzięki swemu idyotyzmowi przystępuje do urny z podszeptanem nazwiskiem kandydata. Jaka w tem tkwi krzywda dla warstw inteligentnych — jaka szkoda dla spraw publicznych, to jasne dla wszystkich. Tylko interes egoistyczny kieruje Jasiami Stadnickimi i Abrahamowiczami, gdy opierają się rozszerzeniu prawa wyborczego na ogół klas pracujących. Kto bowiem mandaty poselskie zyskuje nie osobistemi zasługami obywatelskiemi, ale przekupstwem głosów, ten całkiem naturalnie musi dokładać starań, aby utrzymać w mocy dotychczasową ordynacyę, zwłaszcza w mniejszych posiadłościach, 100 głosów mniej kosztuje, niż 5,000 i przy rozszerzeniu grona wyborców żaden z tych panów nie zdobyłby mandatu. Trzydzieści lat życia konstytucyjnego, szkoły, czytelnie i Kółka rolnicze sprawiły, że lud wiejski w bardzo znacznej mierze wzrósł w świadomości spraw publicznych. Nic nie pomogą protesty wsteczników, ani gwałtowanie takie, jakiego onegdaj była widownią Izba poselska wskutek sojuszu bankierów niemieckich ze „szlachcicami“

---

3)

PRZED WYROKIEM

chwila z życia kobiety

H. Krzemieniecką.

Życie moje waży się teraz na szalach, które trzymam w swem ręku. Wolą moją mogę je na którą chcę stronę przechylić. Po jednej — hańba, ale szczęście, ale upojenie! Po drugiej — och! śmierć. Taka bezwładna, cicha, uporczywa śmierć wszystkich nadziei, które kiedykolwiek grały w mojem sercu, tych nieokreślonych nadziei, przeczuć i pragnień, które mi ciężkie życie czyniły znośnem. Och! wpić mu się w usta i dusze mu pocałunkami wysączać! Przez całe życie do niego należeć, dzielić się z nim chlebem, myślą i pracą!

A później? Jeśli istnieje życie przyszłe, z ochotą wieczne męki przeniosę. Cały bezmiar szczęścia ludzkiego jam do dna wypiła.

Wyrzec się go? To słońce życia zastąpić bladą, zimną lampą obowiązku? Żyjące serce w lodzie osadzić! Alež ono drga, bije, pragnie szczęścia, domaga się praw swoich! A po tamtej stronie! Jakaż przepaść bezdenna otwiera się przede mną! Czy ja się jej lękam? Świat mię potępi? Czy ja się przed nim ugnę? Czy się cofnę przed obawą opinii ludzi złych, głupich, często występniejszych ode mnie, umiejących pod powłoką zręcznej a cichej obłudy godzić swe czyny z wymaganiami konwenansu? Lecz panie i szanowni panowie, kto z was bez winy, niech na mnie rzuci kamieniem. Jeśli nigdy w waszych sercach burze nie szalały, a z zadowolonym uśmiechem kroczyliście zawsze drogą obowiązku, jeśli waszych uczuć wir nie schwycił i nie porwał w szalone odmęty, nie sądźcie się ode mnie lepszymi. Ja wam wyjaśnię przyczynę. Uczucia wasze albo płynęły naturalnem, wygodnem korytem, bez skał i kamieni, albo się rozlewały po płaskich brzegach falami mętnych uciech i użycia; albo może były tak leniwe i płytkie, że nie miały czem wzbierać i szumieć. Ja się waszych sądów nie boję! Obrzucicie mię błotem i wzgardą; wiem o tem. Na mój rachunek powytwarzacie najpotworniejsze wymysły, z tem większą rodością i dumą, że tak im długo do siebie przystępu nie dawałam. Na wzmiankę o mnie panie będą wstydliwie spuszczały oczy lub wznosiły je pobożnie do góry: kto by się też tego mógł spodziewać, taka się wydawała cnotliwa! Poczem jedna i druga doda: Ja jednak zawsze przewidywałam, że tak będzie. O święte istoty, które dusze ludzkie potępiacie nie pojmując, a swoje własne gorsetem konwenansów krępujecie lub przykrywacie płaszczykiem oszukaństwa! Ja o was nie dbam. Z czynów swych zdawać sprawę będę tylko przed trybunałem własnego sumienia! Och, jakże mnie boli, jakże mnie boli! Czyż ja w istocie niewinna? A dług obowiązku nie spłacony? A moje biedne, nieszczęśliwe, osierocone dzieci moje? Wszak one jękiem i łzami te uniesienia zachwytu matki opłacać będą musiały. Za ich cierpienia i krzywdy moje szczęście kupione. Przy każdym oddechu swobody i rozkoszy, który pierś mą rozpierać będzie, uczuję, iż tam w oddali, z wątłego ciałka dzieciny, którą ja mlekiem swojem wykarmiłam, wyrywa się jęk boleści i okup losowi za moją swobodę. Dałam im życie, a szczęście im odbiorę!

Synu mój malutki, ty teraz w kolebce leżysz, chce mi się nóżki twoje całować, głowę do nich rozpaloną tulić i obmywać je łzami gorącemi. Tyś niczemu nie winien. Ja tylko winna jestem. Co z tobą będzie, gdy ja cię opuszczę?

A ty, córeczko jasnowłosa? Uśmiechasz się przez sen? Jakieś marzenia przesuwają się po główce. Może kiedy dorośniesz...

Nie, ja o tej malutkiej Stasi mojej, z jej mądrem spojrzeniem, w którem przeczysta dusza dziecka przegląda, nic złego przypuścić nie mogę. Ona może tylko być cichą

Przedlitawii. Skoro chłop na Pasiekach pod Lwowem ma prawo bezpośredniego głosowania na posła dlatego jedynie, że należy przypadkiem do okręgu miejskiego, to nie ma najmniejszej racyi odmawiać tego prawa pierwszorzędnej inteligencyi po miasteczkach prowincyonalnych, odmawiać go chłopu z Krościenka pod Krosnem, lub z Donysowa na Podolu, gdzie jeden gospodarz pod względem wartości obywatelskiej tysiąc razy przewyższa obrzydłe figury lenderbankowiczów wraz z całym pocztem uniżonych sługusów. Kraj zapamięta sobie nazwiska posłów Lewakowskiego, Sokołowskiego, Potoczka, Weigla, Gniewosza i Szczepanowskiego, którzy nie wahali się pierwszym taranem uderzyć w małoduszność Koła, truchlejącego przed głosem prawdy i słuszności, a potężniejąca fala opinii publicznej nie ma słów oburzenia na postępowanie, które naprawę tych niesprawiedliwości udaremniło na długo. Austryacki miesięcznik p. t. *Statistische Monatschrift*, zestawiając ostatnie walne wybory do Rady państwa, wykazał, że w kuryi wielkich posiadłości przypada jeden poseł na 63, w miejskiej na 44,854, a w wiejskiej 142,734 osób do głosowania uprawnionych! Dziwna to owa zachwalana przez liberałów „równość wobec prawa." Dodajmy, że rękodzielników sprzęgnięto z kupcami, aby w tékim, jaki jest, stanie rzeczy, żadnego istotnie głosu przy wyborach nie mieli. Lecz idźmy dalej. Podzieliwszy ogół ludności przez liczbę posłów, otrzymamy ten wynik, że w przecięciu na 67,162 dusz przypada jeden poseł. Bardziej jednak upośledzona jest Bukowina, najbardziej zaś Galicya, gdzie jeden poseł przypada dopiero na 104,038 dusz. Jak może jeden człowiek odpowiadać potrzebom przeszło 100,000 osobników różnej płci, narodowości, rasy, przekonań itp., to pozostanie tajemnicą „ordynatów" wyborczych. Dlaczego zaś Galicyi mniej dano posłów, niż nawet Bukowinie, to łatwo zrozumieć — geometryą wyborczą kierowały do spółki biurokracye liberalne, które jednak nas nienawidzą.... Twórcy dzisiejszej „ordynacyi" zaprowadzili wprawdzie wybory bezpośrednie po miastach, ale w rozliczeniu mandatów na kraje nie zastosowali się ani do liczby ludności, ani do siły materyalnej różnych narodowości, lecz podzielili kraj na takie okręgi, aby zapewnić większość niemcom i klasom majętniejszym. Po wsiach i miasteczkach zaś zaprowadzono wybory pośrednie, tj. głosowanie wyborców delegowanych. Krzywdę wyrządzoną przez taki system starają się we wszystkich krajach monarchii naprawić przez bezpośrednie wybory w gminach wiejskich i dążą do powszechnego głosowania. Obecnie wszystkie prawie stronnictwa w Radzie państwa oświadczyły się za reformą wyborczą, wszystkie czują, że należy postąpić krok naprzód ku uobywateleniu klas niższych. Nawet niemcy liberalni nie mają odwagi wystąpić przeciw reformie, aby nie stanąć w sprzeczności ze swemi wolnemi hasłami. Tylko Koło oświadczyło się przeciw reformie. Powiada ono, że Galicya jest zadowolona z obecnej ordynacyi, że nie pragnie zmiany, że zresztą nizki stopień oświaty naszego ludu przemawia przeciw dopuszczeniu go do bezpośredniego głosowania. W tę fałszywą grę wchodzą inne czynniki. Wspomnieliśmy, czemu dla większości naszej delegacyi są obecne stosunki wygodniejsze. Pisma wyliczają, że dziś za 10,000 złr. można kupić mandat poselski z gmin wiejskich, a gdyby było wyborców kilka lub kilkanaście tysięcy, taka manipulacya nie powiodłaby się, większa bowiem liczba wyborców łatwiej się oprzeć zdoła wszelakim wpływom, niż garstka otoczona faktorami, lub teroryzowana. Są jednak inne jeszcze względy, przemające za zmianą ustawy dotychczasowej. Nie ulega wątpliwości, że w razie dokonania wskazanej reformy, utraciliby polacy kilka mandatów z Galicyi wschodniej na rzecz ruskich, że zatem żywioł polski poniósłby stratę. Obliczają, że rusey mogliby uzyskać 17 mandatów — alež dla 3 milionów ludności, to chyba nie za dużo. Rusey są narodem i posłów swoich mieć powinni; wódką, kiełbasą, pieniędzmi, sztuczną ordynacyą pozbawiać ich legalnej, własnej reprezentacyi — nie należy. Drugi zarzut, czyniony bezpośrednim wyborom, dotyczy niskiej oświaty ludu. Jest to również wykręt. Czyż dziś starają się o to, aby gminy wysyłały samych wykształconych, uczciwych i niezależnych włościan? Przeciwnie, ci sami panowie, którzy ów zarzut podnoszą, starają się w czasie wyborów przedewszystkiem o to, aby gminy delegowały do głosowania ciemnych lub zależnych włościan, pijaków, głupich wójtów, bo na tych najłatwiej wpłynąć. Drży skóra na tych, co nieprawnie zdobyli mandaty. A tylko ci mają odwagę wystąpić w obronie kraju, którzy dzierżą mandat z woli wyborców, a nie z poparcia rządu lub za pieniądze. Niejedna sprawa doniosła innego doczekałaby się załatwienia, gdyby nie grzechy wyborcze, a jeśli od swych żądań co do decentralizacyi kolejowej Koło odstąpiło, to pewnie przyczynił się niemało ku temu ów grzech pierworodny prawyborców. Zaprowadzenie bezpośrednich wyborów w gminach wiejskich podniosłoby wysoko siłę naszej delegacyi w Wiedniu, dałoby jej moralne poparcie woli ludu, uwolniłoby ją od zależności, a przedewszystkiem wymierzyłoby sprawiedliwość ruskiego. Odrzuciwszy bowiem wniosek posła Romańczuka o dopuszczenie jednego rusina do komisyi wyborczej, Koło popełniło niesprawiedliwość. Sympatye ogółu niezaślepionej egoizmem ludności polskiej, muszą być w tym razie" po stronie ruskich. Trudno rzeczywiście pojąć, jak można było z tak lekkiem sercem narażać na szwank dotychczasowy sojusz z klubem ruskim, gdy żądanie jego najpierw odpowiedziało najzupełniej pojęciom o słusznym udziale stronnictw w komisyach parlamentarnych, a powtóre w gruncie nie miało żadnego dalej sięgającego znaczenia. Czy menerzy Koła obawiali się, aby ów intruz nie wystąpił z żalami na dotychczasowy proceder wyborczy w Galicyi i na upośledzenie kuryi mniejszej własności przez wybory poślednie? Jeśli tak, to tem bardziej ubolewać należy, że zgwałcono zasadę wolności słowa, które pełnym dźwiękiem odezwało się. W tej sprawie odbyły się wiece ludowe w Kołomyi i Stryju, a głównym przedmiotem ich narad była reforma ordynacyi wyborczej. Co prawda w uchwałach obu zgromadzeń jest pewna niezgoda: stryjskie trzymają się w ramach skromniejszych, kołomyjskie idą dalej. W rzeczy zasadniczej jednak oba zgromadzenia zaprotestowały przeciw obecnej ordynacyi wyborczej, niezgodnej z duchem ustaw konstytucyjnych i krzywdzącej ogromną większość ludności. Jeden z włościan na wiecu w Kołomyi zawołał: „Jeśli doroślismy do wojska i podatków, to także doroślismy do głosowania." Z żądaniem tej reformy wysłano energiczną petycyę do Rady państwa.

Beta.

---

ofiarą, pojmującą zbrodnie względem siebie popełnione, która wszystko rozumie, przebacza, kocha i cierpi za winy cudze. Za winy moje. Może całem sercem pokocha jakiego zacnego człowieka; mogłaby być kochaną i szczęśliwą, a wspomnienie matki stanie na przeszkodzie, życie jej złamie i czarę goryczy, którą ja od warg odchyliłam — ona wypije do dna. Matka i hańba! Język buntuje się wymawiać te słowa, tak potwornie złączone razem. I to do mnie się stosuje, do mnie!

Gdzież hańba? Ja kocham tego człowieka.

O ziemio biedna, ciężkaś ty dla dzieci twoich. Wyłoniona z chaosu, kipiąca walką żywiołów, przedstawiasz olbrzymią arenę boju. W głębinach morza we wnętrzu lasu i źdźbłach trawy, w instynktach zwierząt i dążeniach ludzkich, wre on zaciekły, nieprzejednany, zażarty. Wróbel pożera liszkę, kania wróbla, orzeł kanię, człowiek zabija orła. Wszystkie twory przyrody, ogarnięte nieprzepartą żądzą istnienia, duszą się wzajemnie i zagryzają, a na trupach zabitych ofiar rozpościerają się, nakarmione, zadowolone i tryumfujące. Gdziekolwiekbądź się zwrócić, widać ścieranie się woli dwóch istot życia łaknących: gnębiących lub ciemiężonych. Oswojeni ciągłem powtarzaniem się tych zjawisk, rozmaitych a jednakich, patrzymy w roztargnieniu na przesuwające się dokoła uosobione mary rozpaczy: konie pociągowe, poznaczone pręgami batów, usiłują podźwignąć wykoszlawionemi nogami ciężary, przerastające ich siły; ryczą stada wołów, w nagrodę pracy dla człowieka, niosące swe mięso pod topór rzeźnika; spieszą do pracy ludzie, aby wytężonym trudem dobyć lichego zarobku, który ledwo wystarczy, aby nie umarli z głodu, a żyli w ciemocie, nędzy i brudzie.

Gdziekolwiekbądź wytryska źródło szczęścia, tam widać zbite masy istot, szarpiących się i rozdzierających wzajemnie, wyrywających sobie z gardła kęsy chleba, przeniknietych zajadłą nienawiścią, gotowych raczej nie użyć, raczej zginąć, niż dopuścić drugich do nasycenia się. Wszystko, co żyje, nienawidzi i boi się lub tępi. Wszędzie gwałt i mord, w prawach natury śmierć i zniszczenie. Dla chwilki uciechy, dla okruszyny złota, dla cienia zadowolonej ambicyi, przelewa się potok krwi i cierpień ludzkich, setki istnień rzuca się na pastwę wiecznie rozwartej paszczy Molocha. Potężny egoizm, nieuwzględniający boleści innych istot, obojętny na ich konanie, ta straszna dążność ludzkości, potępiana usty, wyznawana sercem, bezświadoma a potężna, przenika cały łańcuch tworów, nurtuje w popędach człowieka i rozlewa się w dziełach jego.

To błędne koło sprzeczności wymagań życiowych opasuje nas zewsząd i wyjść zeń można tylko po zgniecionych ciałach i zdeptanem szczęściu istot słabszych.

Kocham was, biedne bezbronne istoty, którym życie ja dałam, którym siły do życia ja tylko dać mogę. Jeżeli w piersiach waszych istnieją zarodki tych uczuć gwałtownych i silnych, które były męczarnią waszej matki, to rwanie się ku celom szerszym i szamotanie się w klatce przyjętych zwyczajów—bezo mnie musiałybyście przechodzić wszystkie koleje, które moje życie uczyniły zwichniętem i mało użytecznem. A ja wiem, jak ciężko jest dźwigać przeświadczenie o zmarnowaniu sił swoich. Chcę was od tego uchronić.

Dzieci moje ukochane, maleńkie, chcę z was uczynić ludzi odważnych i silnych, świadomych swych celów i ku nim wytrwale dążących. Chcę, żebyście były szczęśliwe i dzielne. Wiem, że życie wasze mogę tylko ofiarą własnego okupić, widzę ogrom boleści, którą przebyć muszę, rozumiem, że idę na stracenie.

Ale się nie waham.

Życie moje przemknie cicho jak drobna fala, żadnych śladów po sobie nie zostawiając, ból zamrze i zginie w przestrzeni, jak rozpaczliwe wysiłki tylu istnień ludzkich, które niby liście uschłe, strącone z drzewa, wiatr losu rozwiewa.

I nikt nigdy wiedzieć nie będzie, wieleśmy wycierpieli!

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Po złożeniu przysięgi przez rekrutów, cesarz niemiecki coś do nich przemówił, ale co — tego w żaden sposób z ogłoszonych przez nasze pisma telegramów odgadnąć niepodobna. Według jednej bowiem depeszy rzekł, iż nowozaciężni będą mogli okazać swą „dzielność i męztwo w pokoju,“ według drugiej dodał, że mogą ich powołać do czynu walki „wewnętrzne.“ Obie te wieści są niedorzeczne, a więc zapewne fałszywe. Żołnierz nie może dowieść waleczności i męztwa w pokoju, trudno zaś przypuścić, żeby monarcha obiecywał mu odznaczenie się w walkach wewnętrznych. Prawdopodobnie więc Wilhelm II wypowiedział jedną z tych mów stereotypowych, które stale kończy formułą: pokój mamy zabezpieczony, gdyby jednakże itd.

Parlament niemiecki rozpoczął swoje obrady, które dotychczas nie wyszły z koła spraw specyalnych i niebudzących szerszego zajęcia. Ponieważ sprawowanie godności poselskiej jest w nim bezpłatne, życie w Berlinie kosztowne, a przytem wielu członków parlamentu musi pracować zarobkowo, więc zjawiają się bardzo nielicznie, dopóki nie wejdą na porządek dzienny kwestye ważne i wymagające ich obecności.

Jedno z „enfants terribles“ Izby francuskich chciało wydobyć z ministra spraw zewnętrznych wyznanie, czy istnieje jakiś układ formalny między Francyą a Rosyą. P. Ribot wszakże oznajmił, że takiej interpelacyi nie przyjmie i na nią nie odpowie.

Proces, wytoczony arcybiskupowi z Aix za publiczną obrazę ministra Failliersa w znanej sprawie okólnika, wydanego z powodu pielgrzymek do Rzymu, zakończył się skazaniem podsądnego na 3,000 fr. kary. *Figaro*, wyławiający dla siebie reklamę z każdej wrzawy, ogłosił składkę dla pokrycia tej sumy.

Przełom w ministeryum hiszpańskiem dobiegł do końca. Złożono nowy gabinet, jeszcze bardziej zachowawczy.

Jak przewidywaliśmy, wojna domowa w Brazylii upodobniła się do chilijskiej z mniej tragicznem zakończeniem. Prezydent Fonseca bowiem nie próbował szczęścia w walce orężnej, ale widząc, że powstanie przybiera coraz szersze rozmiary i gromadzi siły groźne, odstąpił swą godność generałowi Montt i uniknął losu Balmacedy. Gdy usunął się ten główny kamień obrazy, bieg wypadków przybrał rozwój prawidłowy i zapewne niedługo zakończy się zgodą stron. Naturalnie o wywalczeniu prezydenturzetych praw, o jakich marzył Fonseca, nie ma mowy, a junta pozostanie ciałem republikańsko-prawodawczem. Biedny Dom Pedro miał chwilę złudzenia, że w zawierusze odzyska tron i oświadczył nawet gotowość powrotu, gdy go naród wezwie. Mdły promień nadziei zgasł mu teraz zupełnie.

Skoro układ z bankiem wołżsko-kamskim o pożyczkę spełzł na niczem, ex-król Milan zaofiarował regencyi sprzedanie tego, co jeszcze posiadał: obywatelstwo serbskie, opiekę nad synem, tytuł generała i owo *ex*. Wszystko to ona nabyła za jakąś sumę, którą zabiorą wierzyciele i domy gry. Oskubany ze wszystkich błyszczących piórek b. król serbski jest dziś tylko zwyczajnym Milanem Obrenowiczem, używającym pseudonymu hr. Takowy.

DONIESIENIA URZĘDOWE.

Wskutek obaw, spowodowanych nieurodzajem, ogłoszone zostało następujące oświadczenie ministeryum finansów:

„Zapasy zboża, jakie pozostały w Rosyi, wystarczają na potrzeby ludności do żniw 1892 r. W celu przyjścia z pomocą ludności, wyasygnowano do 60 mil. rubli. Gotowizna skarbu państwa wynosi 220 milionów, istnieje zatem zupełna możność nietylko pokrycia nadzwyczajnych asygnowań, ale nadto przewidywanych w budżecie r. 1891 nadzwyczajnych wydatków i na przedterminową w r. 1891 amortyzacyę długu państwowego i pozostanie jeszcze znaczny remanent na potrzeby r. 1892, na zaspokojenie których użyty zostanie wpływ trzechprocentowej pożyczki. Niedobór dochodów państwowych nie wpłynie na równowagę budżetu. W rzeczywistości przez dziesięć miesięcy wpłynęło o $10\frac{1}{4}$ mil. mniej, niż w roku zeszłym. Wydatki, szczególnie na pokrycie długu państwowego, zmniejszyły się i wykonanie budżetu nie będzie niepomyślne. Nieurodzaj nie pozostanie bez wpływu na międzynarodowy bilans handlowy Rosyi, w ostatnich latach niezbyt pomyślny. Rosya przez granicę europejską otrzymywała rocznie towarów za 372 mil., a wysyłała za 700 mil., a w tej liczbie zbóż, których wywóz jest obecnie zabroniony, za 368 mil. Zbóż tych w roku bieżącym wywieziono od 1 września za 80 mil., międzynarodowy zatem bilans handlowy wypadnie na naszą korzyść i nie przedstawi przewyżki wwozu nad wywozem. Właściwe hadlowe stosunki nie będą wymagały nabywania przez Rosyę złota na rynkach zagranicznych. Rosya posiada bezpośrednie źródła dochodów w złocie, pokrywające w zupełności opłaty długu państwowego. W ostatnich latach pomnażała się szczególnie rezerwa złota, która w skarbie państwa została doprowadzona do $86\frac{1}{2}$ milionów, a w Banku państwa do 120 mil. rubli w złocie, niezależnie od 75 mil. w złocie, zabezpieczających emisyę 75 mil. rubli kredytowych. Do cyfr tych nie został włączony wpływ z nowej trzyprocentowej pożyczki złotej i fundusz wymienny 210 mil. rubli w złocie.“

SPRAWY EKONOMICZNE.

KOMISYE FABRYCZNE.

Nasz przemysł fabryczny, do niedawna jeszcze będący dziedziną, gdzie gra interesów osobistych i woli jednostek kierowniczych miały nieograniczone pole, stanął nareszcie pod ścisłą kontrolą: czuwać nad nim będzie odtąd prawo fabryczne, zastosowane w całej swej rozciągłości, oraz na szerszą skalę zorganizowany dozór—komisye fabryczne. O pierwszem już mówiono w *Prawdzie*, teraz z kolei zatrzymamy uwagę czytelników na tych ostatnich.

Ta nowa władza nadzorcza jest rozwinięciem uprzednio istniejącej, rozpada się na dwie gałęzie: komisye gubernialne do spraw fabrycznych, warszawską i piotrkowską, a ma na celu, łącznie z inspekcyą, czuwanie nad zachowaniem przepisów prawa, biorących w obronę interesy robotników. Skład i zakres ich działania wogóle są następujące: Składają się one, pod przewodnictwem gubernatora, z wice-gubernatora, prokuratora lub podprokuratora sądu okręgowego, naczelnika zarządu gubernialnego żandarmeryi, inspektora fabrycznego lub jego pomocnika, prezesa zarządu ziemiańskiego gubernialnego lub jedne-

---

A może pasmo tych ofiar bolesnych stracone nie jest? Spływają się one jak krople drobne, jak strumienie ciche, do wielkiej rzeki miłosierdzia, której fale ogarniają i pędzą naprzód uparte masy leniwych lub niechętnych.

Ofiara moja to atom wśród tych niezmierzonych wysiłków, których sama pcha ludzkość naprzód.

Promienie słońca wdzierają się teraz, jasne i swobodne do pokoju, zapalając snop iskier w zwierciadlanej tafli, stojącej w rogu, ślizgając się złociste i wesołe po ciemnych włosach i bladej twarzy spoczywającej kobiety.

Irena machinalnie utkwiła wzrok w weneckie okno, przez które potokami leje się światło. Niebo migocze opalowymi blaskami, roziskrzając dyamenty w śniegu, powietrze przesiąkło jest radością i rozkoszą. Jasny, pogodny dzień zimowy zapowiada się świetnie, wesoły a mroźny.

W tej grze wesela i powodzi światła ogarnia ją bezmierna żałość i tęsknota, czuje w sercu próżnię głęboką i czarną, jak przepaść. Z boleścią widzi, że jej osobiste życie jest już skończone. Odtąd zaczyna się życie dla innych.

Zmęczona jej głowa opada na poduszki. Leży chwilę z przymkniętemi oczyma. Zwolna spływają na nią cisza i ukojenie. Zamęt i chaos uczuć ustaje. Zdaje się, że krwawa zasłona z przed oczu spadła. Myśli się rozjaśniają. Przeszywa ją jakiś ból cichy a dojmujący. Widzi przed sobą cierpienia wszystkich ludzi i odczuwa je. Różne drobne troski, urojenia ambicyi, otchłanie występku, słabości i upadki przedtem w niej znajdowały surowego sędziego; teraz wnika w ich przyczyny i słyszy ich skargi. Jakże blizko była przepaści, wiele krwawego trudu zużyła, aby się utrzymać! Całą nędzę i słabość ludzkiej natury pojmuje. Wieczna niedola istnienia rozwiera przed nią swe głębie.

Ogarnia ją bezmierna żałość nad temi boleściami i upadkami, obejmuje ją miłość i przebaczenie — i jakiś wielki, uroczysty spokój.

* * *

Gwar głosów budzi ją z uśpienia. Zwolna podnosi ociężałą głowę. Późno już. Jasny dzień zimowy świeci wesoło. Przy łóżku jej stoi maleńka córeczka, wpatrując się w nią jasnemi, mądremi oczami. W przyległym pokoju słychać tupotania i okrzyki; chłopczyk z minką zuchwałą i butną udaje dzikiego rumaka, brykając i potrząsając bujną czupryną.

Zwolna powstaje i zaczyna się ubierać. Powieki ma zbolałe i usta spalone. Głowa cięży okropnie. Machinalnie upina włosy i wkłada na siebie szlafroczek. Nagle myśl żywsza błysnęła jej w głowie. On przyjdzie.

Zobaczy go jeszcze. Obowiązki towarzyskie zmuszają go do złożenia pożegnalnej wizyty w domu, z którym pozostawał oddawna w przyjaznych stosunkach. Ale po za tym błahym pozorem, ona czuje, że on nie odjedzie na zawsze, nie spróbowawszy wprzód rozpaczliwym wysiłkiem potargać krępujących ich zagadek, dopóki przynajmniej nie dowie się prawdy.

Z pośpiechem kończy ubranie i wychodzi do stołowego pokoju. Kucharz już oddawna niecierpliwi się, narzekając na opóźnienie z obiadem, ogrodnik przyszedł po dyspozycye co do ablegrów, majster przy budowie stajni prosi o kwit na żelaztwo, dozorca przynosi rachunki i wyrzeka na lichotę dostawionego materyału.

Irena wydaje rozkazy, spełnia różne gospodarskie zajęcia i z gorączkowem ożywieniem tłomaczy różne szczegóły, których od niej żądają. Czeka zamieniona w słuch.

Rozumie, iż to rozstanie się jest ostateczne — tak postanowiła — a jednak to spotkanie ostatnie napawa ją dziwną rozkoszą, bolesną a przejmującą. W sercu jej wre upojenie... Gdy on odejdzie, gdy po za nim drzwi się zamkną, na głowę jej spadnie niby ciężkie wieko trumny. To będzie koniec. Tymczasem ogarnia ją gorączkowe podniecenie. Czeka.

go z jego członków (tam, gdzie są ziemstwa) i prezydenta miasta gubernialnego lub jednego z członków zarządu miejskiego.

Do obrad komisyj powoływani być mogą z głosem doradczym: inspektor lekarski gubernialny, inżenier lub budowniczy gubernialny, mechanik gubernialny i wogóle osoby zdolne do udzielenia wiadomości i wskazówek pożytecznych.

Sprawy komisyi załatwia inspektor gubernialny lub jego pomocnik.

W zakres działalności komisyj wchodzi: wydawanie obowiązkowych postanowień co do środków zabezpieczenia życia, zdrowia i moralności robotników podczas pracy oraz zamieszkiwania ich w domach fabrycznych, jako też co do pomocy lekarskiej dla nich; rozstrzyganie spraw karnych o wykroczenia określone w artykułach 40—42 prawa fabrycznego, tudzież o naruszenie art. 1359 kodeksu karnego, popełniane przez zawiadowców fabryk po raz pierwszy i drugi, jeżeli te naruszenia nie pociągają następstw, orzeczonych w § 1 art. III uchwały państwa; rozpoznawanie skarg na rozporządzenia inspekcyj i uchylanie ich; układanie przepisów dodatkowych, dotyczących stosunku robotników podręcznych, jako też pracujących artelami lub spółkami — do zarządu fabryk; rozstrzyganie wątpliwości napotykanych przez urzędników inspekcyj przy stosowaniu przepisów niniejszych. Postanowienia komisyj co do środków zabezpieczających życie, zdrowie i moralność robotników, ogłaszane będą w miejscowych gazetach urzędowych (gubernialnych, policyjnych i miejskich) i wywieszane w zarządach policyjnych, gminnych i w fabrykach, do których się stosują.

Jak więc widzimy, atrybucye komisyj fabrycznych są bardzo szerokie, gdyż urząd ten łączy w sobie zarówno władzę ustawodawczą, sądową i administracyjno-nadzorczą. Należy on do typu instytucyj mieszanych, wytwarzanych dziś dla różnych dziedzin życia społecznego w państwie.

Skargi na postanowienia komisyj mają być zanoszone (w terminie miesięcznym) do ministeryum skarbu i rozstrzygane przez niego w porozumieniu z ministeryum spraw wewnętrznych; uchwały zaś komisyj w sprawach o wykroczeniach nie podlegają zaskarżeniu, jeżeli wymierzona na winnego grzywna nie przewyższa sumy 100 rs.

W zastosowaniu do Królestwa Polskiego, komisye przybrały nieco odmienną postać: miejsce członków zarządu ziemskiego i miejskiego (nieistniejących u nas) zastępują: w komisyi warszawskiej — dwaj członkowie ze strony miejscowego komitetu przemysłowego, w piotrkowskiej zaś — dwaj członkowie ze strony miejscowych fabrykantów i właścicieli zakładów przemysłowych. Osoby te zatwierdza minister skarbu na zlecenie Naczelnika kraju. W warszawskiej przedstawicielstwo interesów przemysłu piastują pp. Bernard Handtke i Karol Schleaker, w piotrkowskiej — pp. Edward Herbst z Łodzi i Dietl z Sosnowca. W związku z zastosowaniem prawa fabrycznego z r. 1886 i komisyj do Królestwa, wzmocniono również władzę inspektorów fabrycznych: dotychczasowy jedyny okrąg nadzorczy w kraju rozpadł się na dwa — warszawski (z p. Swiatłowskim na czele) i piotrkowski (ze sterem w ręku p. Rykowskiego).

Oto co pisze o tej nowej instytucyi *Warszawskij Dniewnik*:

„Otwarcie komisyj gubernialnych do spraw fabrycznych w dwóch najważniejszych punktach przemysłowych kraju tutejszego, a także zwiększenie personelu inspekcyj fabrycznych uważać należy za środek nader pożądany i niezbędnie potrzebny. Przy rozwoju przemysłu w tych punktach, zwłaszcza zaś w okręgu piotrkowskim, zwanym zwykle łódzkim, stosunki między fabrykantami, majstrami a robotnikami układały się niezupełnie prawidłowo. Fabrykanci i przemysłowcy, przeważnie cudzoziemcy, którzy zdobyli u nas ogromne majątki, korzystając z braku urzędów, mających prawo wtrącania się do stosunków z robotnikami, pozwalali sobie względem ostatnich na postępowanie nietylko niewłaściwe ze stanowiska moralnego, ale często nawet przeciwne prawu. Zmniejszenie płacy zarobkowej bez uprzedzenia robotników, nakładanie grzywn nieodpowiednich do winy — wszystko to dopuszczane było w fabrykach nietylko przez samych właścicieli, ale także z rozporządzenia zawiadowców, a nawet majstrów. Wyzysk robotników istniał nawet w pierwszorzędnych, najlepiej urządzonych i poważnych fabrykach, należących do cudzoziemców, przeważnie niemców; robotnicy pochodzenia miejscowego, wskutek sprzeczności narodowych, byli w rozmaity sposób uciskani przez majstrów zagranicznych i sztygarów. Następstwem tego był zaostrzony stosunek robotników w różnych miejscowościach względem kapitalistów, z czego, naturalnie, korzystali z łatwością rozmaici agitatorzy, tak miejscowi, jak i zagraniczni. Szkoda wielka, trzeba to wyznać, że ich robota niszczycielska posuwa się naprzód i do warstw robotniczych przenikają teorye socyalistyczne, czemu, naturalnie, sprzyja w znacznym stopniu niezadowolenie robotników z ich pracodawców."

Istotnie też zgodzić się trzeba z tem, że wobec takiej grozy położenia, wynikającej z nadużyć i lekceważenia najelementarniejszych zasad humanizmu, komisye fabryczne, wzmocnienie nadzoru i zastosowanie całego prawa z r. 1886 — zjawią się jako nieodzowne następstwo konieczności.

Nadzieje pokładane w środkach zapobiegawczych *Warszawskij Dniewnik* wyraża w dalszym ciągu:

„Robotnicy, widząc troskliwość i zwracanie uwagi na ich położenie ze strony administracyi fabrycznej, nie będą ulegali wpływowi agitatorów; wdzięczny grunt dla tego rodzaju agitacyj przedstawiają tylko ci robotnicy, względem których fabrykanci, ich zawiadowcy i majstrowie dopuszczają się samowoli, postępowania niesprawiedliwego i szorstkiego i zaniedbania ich potrzeb najpierwszych. Tacy robotnicy chętnie skłaniają ucho do podszeptów swoich przyjaciół mniemanych, stają się posłusznemi narzędziami agitatorów, urządzają tajne zebrania i niedozwolone zbieranie składek, wreszcie zaś otwarcie wyrażają niezadowolenie urządzaniem strejków. Wypadki zjawiania się pomiędzy robotnikami niezadowolenia w drodze nielegalnej dowodzą, że sprawa robotnicza rozwijała się tutaj dotychczas nieprawidłowo. W roku bieżącym np. z 1000 skarg, jakie wpłynęły od robotników na ręce pomocnika inspektora, rozciągającego dozór nad fabrykami w gub. piotrkowskiej, połowę rozstrzygnięto na korzyść robotników, co dowodzi zasadności tych skarg."

Gdyby inspektorowie występowali w roli pośredników w ostrzejszych zatargach najemników z przedsiębiorcami, liczba tego rodzaju skarg okazałaby się znacznie większą.

Komisye fabryczne weszły już u nas w życie i rozpoczęły swoją działalność. Ponieważ nieobojętną rzeczą są jej wyniki, zwłaszcza pod względem ustawodawczym, jako dowody dalszego rozwoju fabrycznego, przeto nietylko uchwały, ale nawet wnioski i wszelkie zamiary tej instytucyi zasługują na szczególną uwagę. Komisya warszawska odbyła już dwa posiedzenia. Na pierwszem wystąpił p. Swiatłowski z bardzo ważnym wnioskiem rozciągnięcia

---

Podchodzi do okna, wysyła badawcze spojrzenie do ostatniego widzialnego zakrętu ulicy, trwożna i spragniona, przyciska rozpalone czoło do szyby i zastyga tak, bez głosu i nieruchoma.

Po kilku, może kilkunastu latach, znowu spotkają się z sobą, wystygli, obojętni, a on, patrząc na nią, pomyśli może: jestże to rzeczywiście ta kobieta, którą kochałem?

Ból ściska jej piersi, przenika ją straszne zniechęcenie. To druga śmierć.

Słychać dzwonek. Skrzypnięcie drzwi. Jakieś szybkie kroki na schodach. To nie on...

Wchodzi jakiś znajomy z zapytaniem o godzinę powrotu jej męża.

Daje szczegółowe objaśnienia, gdzie go najłatwiej spotkać lub kiedy zastać można — i znowu czeka.

A on nią może pogardzać będzie. Weźmie ją za chłodną, wyrafinowaną kokietkę, za jedną z tych kobiet, które dla dogodzenia chwilowego próżności nie wahają się igrać z życiem i szczęściem człowieka.

A gdyby... pozwolić mu zajrzeć w głąb duszy, uchylić tę osnutą z nieprzeniknionych mgieł zasłonę, która okrywa męki? Och, wyznać: cierpię, cierpię — miej litość nade mną, nie odbieraj mi twego szacunku, pamiętaj zawsze, że cię kochałam!

Ale czyż wówczas on nie wytęży całej mocy męzkiego ramienia, aby wyswobodzić ukochaną kobietę z krępujących ją więzów, skruszyć je i porwać ją z sobą?

Widzi przed sobą oczy jego utkwione w nią z namiętnym zachwytem, czuje oddech gorący i szept słów wionących tkliwością i uniesieniem, które ją okrążają szałem miłości, porywają obrazem życia wspólnego, oświecanego jednakiemi ideami i dążnościami.

— Tyś moja! chodź pracować ze mną i pomagać mi będziesz!...

W oczach jej się zaćmiewa. Blednie. Myśli jej wirują w szalonym zamęcie. Czuje to, że oprzeć się mu nie potrafi. Rzuci dom swój i rodzinę na pastwę nieszczęścia i hańby — i pójdzie za nim.

Podniosła się z miejsca i szybkimi krokami przebiega pokój. Głowę ma podniesioną dumnie, czoło surowo, w oczach wyraz chłodny i twardy.

— Nie, on nie wiedzieć nie będzie.

Zegar powoli wybija dwunastą.

— Co to? Dlaczego tak długo go niema? Może odjechał już?

Teraz jedna myśl stoi przed nią: widzieć go. Pragnienie to wzmaga się, dorasta rozmiarów potrzeby fizycznej prawie, strasznej, nieukojonej, gwałtownej. W tej chwili nie pamięta już, potworny czy piękny — nie pyta, co mu powie; pali ją tylko konieczność nieodzowna i nieprzełamana ujrzenia przed swemi oczami jego rysów, jego postaci. Tęsknota porywa ją i ściska, tęsknota straszna, duszę wypalająca, żyć niedająca. Ujrzeć go! — to jedno pragnienie wyryte w jej mózgu ognistemi głoskami, myśli wszystkie i wszystkie inne uczucia pochłania, w skroniach ściska, w sercu piecze. Ujrzeć go! — uciszy jego widokiem rozszalałe nerwy i uspokoi się. Wyciągnie doń rękę z przyjaznym uściskiem, przemówi kilka słów obojętnych: głos jej tak nawykł do nagięć uprzejmych i spokojnych, gdy mówi do niego, że chłodzi jej wzruszenie niby strumieniem zimnej wody.

Papuga przeraźliwie świergocze. Śmiechy i głosy dziecinne dźwięczą. Maszyna do szycia turkocze. Wyczekiwanie gorączkowo zaostrza jej słuch. Drgnęła. Serce jej omdlewa i na chwilę bić przestaje.

Dzwonek. Czuje szarpnięcie w sercu. Wszystkie fibry grają przyspieszonem tętnem. Na chwilę ciemna mgła przesuwa się przed jej oczami.

Tłusta, figlarna służąca z rumianymi policzkami otwiera drzwi.

— Proszę pani, pan Lisoski przyszedł i życzy sobie z panią się widzieć.

Irena już stoi na środku pokoju i prostując wysoką swą kibić, odpowiada głosem spokojnym i pewnym:

— Prosić!

* * * * * *

prawa o najmie także na robotników, pracujących przy kanalizacyi m. Warszawy. Na drugiem rozpatrywano przedewszystkiem typ książeczki obrachunkowej. Książeczka ta, formatu 16 ki, składać się miała z czterech działów głównych. W pierwszym pomieszczono warunki najmu, w drugim wyciągi z prawa fabrycznego, zajmujące kilka kartek, regulamin fabryczny, kartki do zapisywania zarobków. Każdy robotnik będzie musiał mieć ją przy sobie. Na temże posiedzeniu badano nadto sprawę urządzeń humanitarnych, istniejących przy fabrykach, lecz nie uświęconych przez ministra. Tu należą: kasy zapomóg i oszczędnościowe, kasy emerytalne, wogóle „instytucye patronalne.“ Obok komisyi fabrycznej w Warszawie, t. zw. miejskiej, opracowującej specyalnie warunki bytu robotnika warszawskiego, istnieje jeszcze druga, gubernialna, pod przewodnictwem gubernatora bar. Medema, która się zajmuje sprawami robotników zamiejskich. W obu zasiadają pp. Handtke i Schlenker. Prócz nich i p. Światłowskiego resztę kompletu komisyi warszawskiej składają: prezes — generał-major Klejgels, za naczelnika warszawskiego zarządu żandarmskiego — podpułkownik Debil, prokurator Kniaziew i pomocnik oberpolicmajstra, generał-major Polenow.

Daleko donioślejsze dla kraju całego i robotników naszych są uchwały i wnioski zapadłe i polecone na drugiem posiedzeniu komisyi fabrycznej piotrkowskiej. Oto jak brzmi sprawozdanie, podane w *Warszawskim Dzienniku*:

„Towarzystwu akcyjnemu wyrobów bawełnianych Karola Scheiblera pozwolono na pracę nocną kobiet w ciągu dwu tygodni*), a środek ten przedsięwzięto wskutek konieczności zatrudnienia 100 kobiet, pozbawionych zajęcia z powodu zepsucia się w fabryce jednej maszyny. (Szło tutaj, zgodnie z brzmieniem prawa, nietylko o pomoc najemnicom, ale także o to, żeby przedsiębiorca mógł powetować skutki nieczynności maszyny. *Przyp. autora*). Ze względu na możliwość powtórzenia się podobnych wypadków zawieszenia robót skutkiem zepsucia się maszyn, komisya upoważniła inspektora fabrycznego do zezwalania na roboty nocne przy maszynach, zdatnych do użytku, za wiedzą prezesa komisyi, o czem winna być za każdym razem zawiadomiona komisya na pierwszem z kolei jej posiedzeniu.“

Prócz tych domowych, rzec można, środków, na temże samem posiedzeniu komisyi postanowiono zalecić ministeryum skarbu wniosek, żeby do zawiadowstwa fabryk i zakładów przemysłowych przyjmowane były tylko osoby, znające język polski i ruski, jako też, żeby ta sama osoba nie mogło jednocześnie zarządzać kilkoma zakładami, należącymi do różnych właścicieli.

„Spodziewać się należy — dodaje *Warsz. Dziew.* — że ministeryum skarbu nie postawi ze swej strony przeszkód do zastosowania tego środka nietylko w okręgu fabrycznym piotrkowskim, ale i w warszawskim, oraz, że ostateczne zatwierdzenie zawiadowców fabryk i zakładów przemysłowych będzie pozostawione władzy komisyj. Tym sposobem środek ten pociągnie za sobą wyzwolenie fabryk i zakładów tutejszych od zarządzających, którzy uważają, iż znajomość języka ruskiego i polskiego jest dla nich zupełnie zbyteczną i pozwalają sobie pogardliwie traktować robotników miejscowych tylko dlatego, że nie są niemcami. Nadto, środek ten pośrednio będzie pomagał do ściślejszego wykonywania prawa z dnia 14 marca 1887 r., odnośnie do wzbronienia poddanym zagranicznym zarządzania nieruchomościami. Niejednokrotnie gazeta nasza wskazywała różne podstępne praktyki, jakich używali poddani zagraniczni celem obejścia tego prawa i utrzymywania się na ciepłych miejscach, z których porobili oni sobie gniazda; wspominało się również o tem, że cudzoziemcy, zarządzający fabrykami i zakładami przemysłowymi, wbrew prawu, pozostają na dawnych posadach, ukrywając się pod mianem kasyerów, techników, maszynistów, a nawet robotników i przedstawiają władzom, w charakterze zarządzającego, osobę fikcyjną, która należy do poddaństwa ruskiego i zgodziła się za niewielkie wynagrodzenie odgrywać tę rolę.“

To właśnie nadużycie, według *Dziennika*, winno stać się przedmiotem szczególnej uwagi inspektorów i komisyj fabrycznych.

Z. A. P.

*) W myśl zmienionych przed paru laty przepisów o pracy nocnej kobiet, na którą minister zezwala w razach wyjątkowych dłuższej przerwy w robotach z powodu uszkodzeń technicznych, licznych obstalunków i t. p.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA POLSKA.

H. Gliński, *Honor*, studyum. — Al. Rembowski, *Kazimierz Wodzicki jako myśliwy.* — W. Zagórski i A. Zaleski, *Pan radca*, powieść.

W naszej literaturze błyski oryginalnych myśli stają się tak rzadkie, jak burze w zimie, a wodniste roztwory cudzych powtarzają się tak często, jak deszcze w jesieni. Nie jest to jednak wskazówką, żebyśmy mieli przyswajać chciwie dobytek poważnych myślicieli. Nasze mózgi przypominają raczej skały, z których obfite zdroje tryskają, gdy ich dotknie swą laską jaki Mojżesz... z teatru. Bo wobec poważnych i naukowych tworów mądrość swą objawiamy pospolicie milczeniem, gadatliwość zaś nasza wybucha niepohamowanie z powodu każdej nowej sztuki. Tyle mamy wówczas do powiedzenia, iż — jak się okazuje— nie wystarczają nam stosy gazeciarskiej bibuły, zadrukowane recenzyami, piszemy jeszcze — książki. Grzech taki, dający się wybaczyć chyba wtedy, gdy będziemy w nim widzieli wybryk mimowolnego humoru — popełnił H. Gliński. Jemu to wydały się niepospolicie ważnymi dwa fakty, które zaszły u nas: sztuka Sudermana „Honor,“ wystawiona w naszym teatrze i kronika, którą z tego powodu napisał B. Prus. O ile pierwszy z tych faktów olśnił p. Glińskiego, o tyle drugi go przeraził, podwójnie więc zaniepokojony uważał za konieczne zaalarmować z kolei społeczeństwo i w tym celu napisał swą książkę. Ona tedy jest pociskiem wymierzonym przeciw artykułowi Prusa, oraz obroną utworu Sudermana.

Ponieważ to skruszenie kopij tylko w małym stopniu posiada wartość reklamy, więc Sudermanowi (o ile wie o niem) wydaje się zapewne zdarzeniem rozweselającem i wielce pociesznem. Dla nas zaś ono jest bardzo mało pouczające. Bo i wpierw wiedzieliśmy, że sztuka „Honor“ posiada zalety, a B. Prus bywa niekiedy słabym krytykiem oraz moralistą, zdolnym niemałe sprawić wrażenie w swej własnej parafii i w jakimś zapadłym prowincyonalnym kącie. Nierówne są jednak przewinienia pisarzów: Prus napisał o „Honorze“ tylko krótki artykuł, a p. Gliński całą książkę.

Wiązankę uwag o pisarzu średniej miary podzielił się również z ogółem p. Al. Rembowski. Pytanie, czy studyum o Wodzickim należało do najpilniejszych potrzeb literatury, z pewnością jest sporne. W każdym razie p. Rembowski mniejszym, niż p. G., obarczył się grzechem, podejmując pracę krytyczną o pisarzu swojskim i istotnie oryginalnym. Nie był to uczony, ani stylista. Zeus jednak wielce byłby łaskawy, gdyby pozwolił powiedzieć o naszych nowelistach, iż obdarzają świat równie zajmującemi rzeczami, jak szare z pozoru monografie ptasie Wodzickiego. On miał dar spostrzegawczy, miłował naturę i przedstawiał ją z realizmem bez maniery. Podpatrzył i opowiedział mnóstwo ciekawych i nieznanych szczegółów z życia ptaków, a choć ze spostrzeżeń swych nie wysnuwał wątków do dramatycznych powiastek na tle zoologii (bo szczęściem nie był nowelistą), zawsze jednak miał, pisząc, przed oczami ten wspaniały obraz natury, w którym luźne szczegóły jednoczyły się w całość piękną i wzruszającą. W duchowej jego stronie tkwiły dwa pierwiastki: nieco — artysty i wiele — przyrodnika. Doznawał on wrażeń pierwszego dość często wobec widoku boru i pól, zwykle jednak ulegał drugiemu, który nakłaniał go do analizowania obrazu natury. Nie zadawalał go urok leśnej głębi i nieporównana muzyka jej głosów, w akordach szukał oddzielnych nut i znaczenia każdej. Smutno jednak, że żaden z tych pierwiastków nie wzbił się w nim nad poziom dyletantyzmu, którego nazwę i powody dość łatwo wskazać. Nie czyni tego p. Rembowski. Jest on bardziej delikatny, niż o prawdę troskliwy. Nie mogąc przedstawić Wodzickiego ani jako doskonałego artystę, ani jako poważnego uczonego, woli zalecić go jako „typowego“ myśliwego, „pierwszego“ między nemrodową rzeszą. Znaczenie tej przysługi jasne: lepiej protegowanego umieścić na czele jakiegoś szeregu choćby pośledniejszego, niż na szarym końcu innego, choćby zaszczytniejszego — ale wartość jej nieco wątpliwa. Bo gdy na dnie każdego „myśliwego,“ czy będzie on „typowy i pierwszy“ — pan, chłop, czy prosty kłusownik, tkwi pospolity, atawistyczny popęd do mordu, dlaczego więc z tej głównie strony wychwalać człowieka, w którym jasno widzimy szlachetniejszą? Może dlatego, żeby nie powiedzieć, iż te lepsze pierwiastki nie zostały rozwinięte skutkiem warunków klasowych. Bo to cała tajemnica. Wodzicki należał do tej klasy, której członkom „niewyzwolonym“ nie przystoi uprawiać artyzmu lub nauki inaczej, jak dla zabawy. Wprzód, niż artystą i przyrodnikiem, był on „szlachcicem siedzącym na wsi...“ I to jego nieszczęście.

Ów świat, tak niechętnie dozwalający swej dziatwie biegać po szerokich a nie-*światowych* gościńcach, i w którym może dlatego coraz mniej spotyka się wybitnych typów, dostarczył spółce literackiej — pp. W. Zagórskiemu i A. Zaleskiemu materyału do powieści „Pan radca.“ Dla obserwatora Towarzystwo kredytowe ziemskie to sieć wielka, z pomocą której wyłowić można niezmierną moc społeczno-klasowych objawów życia. Przez oczka tej sieci prześlizguje się każdy szlachcic, zostawiając w niej jakąś cząstkę swej charakterystyki, ileż więc z takiego połowu nazbierać można typowych cnót, wad, grzechów, śmieszności, chęci i czynów, a w tej liczbie z pewnością się znajdzie i poważny motyw psychologiczny lub społeczny. Ale ta „spółka,“ utworzona w celu... „eksploatacyi,“ jakby powiedział reporter, a która podjęła się tego zadania, nie stoi na jego wysokości. W powieści widzimy istotnie radców, szlachtę, która ich wybiera, nawet — wybory. Jeden radca jest cnotliwy, drugi wielki niecnota, lecz i on zostaje cnotliwym na jednej z bliższych końca kartek. Powód tej przemiany jednak niewiadomy, o ile nie tkwi on w tej racyi, iż radcy kredytowi tylko chwilowo mogą nie posiadać cnót. Prawdy psychologicznej niema w tym utworze, a prawda społeczna została doprowadzona do banalnych ogólników. Koloryt powieści jest gnębiąco szary. Jakaś mgła osiada na mózgu czytelnika, gdy przez podsunięte mu filisterskie szkła spogląda na obraz, któremu brak żywych i prawdziwych rysów.

F. B.

LITERATURA FRANCUSKA.

Faguet, Charakterystyki Guizota, Royer Collarda i de Bonalda. Huret, *Enquête sur l'evolution littéraire*, Paryż, 1891.

Charakterystyka Guizota, Royer-Collarda i Bonalda pozostawiają u Fagueta wiele do życzenia. Ociężałość „naukowa,“ któraby wprowadziła w zachwyt rozczochraną młodzież, zwłaszcza gdyby znalazła tam jeszcze cyfry. Znam ludzi, którzy nie mogą bez oburzenia czytać Rocheforta lub Lemaitre'a, tworzących przy kawie porannej od niechcenia często arcydzieła, stanowiące istotne wypadki historyczne lub literackie i którzy natomiast napawają się jakimś mistycznym zachwytem, pochłaniając kompilacye aryjsko-antropologicznych dziennikarzy i przysiadywaczy fałdów, do znudzenia powtarzających jakiś oklepany komunał. Napiszcie 200 artykułów o tupinambozach, kilkadziesiąt — o jakimś grzebieniu wykopanym w Polinezyi i o włosie, który na grzebieniu tym znaleziony został — jest to punkt kardynalny! — a także z tysiąc o znaczeniu nawozu w psychologii, ale tak, aby każdy artykuł był parafrazą, niezmienioną prawie, poprzednich, a zdobędziecie tytuł uczonego. Pewien dziennikarz pisze już sześćdziesiąty trzeci artykuł „o specyalnej doniosłości badań nad tem, skąd ogon koński wyrasta,“ szkic socyalno-antropologiczny, który wzbudza w młodzieży taki entuzyazm, iż ona cmoka ustami i przewraca gałkami oczu z zadowolenia i szacunku, spoglądając na mistrza. Wróćmy jednak do Fagueta. Zdaniem jego Guizot nie wynalazł doktryny „prawdziwego środka“ (juste milieu), lecz wyraził w niej całą swą wewnętrzną naturę. Umiarkowanie jest zwykle oznaką braku charakteru, często dobrze ukrytego. W danym jednak razie łączyło się ono z niesłychaną potęgą woli. Wszystkie czyny Guizota odznaczają się pewnością siebie, która dochodziła aż do wiary. Był wierzącym do takiego stopnia, iż nie obawiał się niepopularności. Jakkolwiek twierdził, iż się jej nie dobija, właściwie mówiąc, lubował się w gorzkim jej smaku. Tam, gdzie inni przynoszą zazwyczaj słabości, niedbalstwa i niedołęstwa, kryjące się pod polityką układów, on wprowadził naturę radykała do usług teoryj umiarkowanych: był „nieprzejednanym“ środka — co brzmi dziwnie. I przy tem wszystkiem „męczennik“ nasz był wielbicielem opinii publicznej. Czemu? Bo opinia wyraża tylko to, co można wyznać. Ukrywamy zwykle ciemne, niezdrowe i złe nasze strony. Opinia wyraża tylko idee i to idee stosunkowo uczciwe. Ma ona także swą hypokryzyę — i to być może w stopniu daleko większym, niż kto inny, w stopniu tak olbrzymim, iż można kwestyonować prawowitość jej tyranii — nie mówiąc już o tem, że pod maską idei ukrywa swe namiętności, chytrości, gniewy i urazy. Ale Guizot hołduje opinii publicznej właśnie dla jej obłudy. Jak człowiek w biletynach wyborczych wyraża istotną swą naturę. Guizot woli jej obłudę w opinii publicznej — a tę tworzy tylko mieszczaństwo. Moglibyśmy śmiało odwrócić te rozumowania i powiedzieć: Guizot chciał służyć mieszczaństwu, a zatem hołdował opini, tworząc system „juste milieu,“ oparty na wysokim cenzusie wyborczym, na ścisłym podziale władz i na pewnej sumie „swobód“ niezależnych od woli ogółu. Zdaniem naszem wszelkie kaptowanie opinii publicznej, właśnie ze względu na powyższy jej charakter i na pochodzenie — można zawsze wskazać kilka błotnistych źródeł, z których zdroje jej się wylęgają: kupka szarlatanów, hołdujących barbarzyńskim instynktom tłumu — jest kompromitującą słabością, ohydnym upadkiem. Politycy, którzy mizdrzą się do tłumów, schlebiając najniższym ich popędom, są gorsi od dziewcząt ulicznych. Ale „le peuple souverain“ miewa często od swych bożków słowa prawdy. Gdy na jednem z zebrań przedwyborczych, masa, która miała dawniej dla Gambetty tylko słowa uwielbienia, zaczęła miotać nań przekleństwa, wyrzucając mu jego „dyktaturę,“ słynny mówca w chwili zapomnienia syknął: „jestem dyktatorem dlatego, że wy jesteście pijanymi niewolnikami.“ Ale następnego dnia język jego toczył po dawnemu miód kłamstwa, wynosząc pod niebiosy mądrość i moralność opinii publicznej. Wyzwolenie z pod niej będzie ostatnim krokiem na drodze wyzwolenia jednostki. Obrońcy opinii publicznej, jako jedynie szlachetnej władzy, zapominają, iż panowała ona za czasów Richelieu'go i Ludwika XIV, których zdolność polegała na sztuce przystosowania się do niej, jak i obecnie. Nawet Faguet, pomimo całego podziwu dla Guizota, nie stara się w zupełności jej usprawiedliwić: „nie mówimy bynajmniej, iż ona ma zawsze racyę; twierdzimy tylko, że ona zawsze i wszędzie, z mniejszą lub większą łatwością panuje.“ Dla Guizota cały rozwój społeczny był tylko wypracowaniem klasy średniej i jej opinii, a cała historya tylko wstępem do jego rządów, do rządów „rozumu.“ Tą drogą doszedł do nieomylności. To mu dodało siły, ale zmniejszyło powagę; miał wygląd raczej wodza opozycyi, niż pierwszego ministra. Jakkolwiek polityka jego miała dwa zadania równoległe: „oporu“ demokracyi i postępowego „wyzwolenia,“ to ostatnie spuszczała z widoku. I dlatego rządy jego były rządami arystokratycznymi. Właściwie mówiąc, Guizot znacznie się omylił, zdaniem Fagueta, w swych obawach. Głosowanie powszechne, to straszydło ówczesnego środka, wykazało obecnie swój konserwatyzm, dając wyraz interesom chłopstwa.

W sumie był Guizot wielkim umysłem, zwężonym przez wielką wolę. Myśl jego wydaje się zawsze większą, niż ona jej być pozwala. Jego filozofia, historya i polityka systematycznie sprowadzane były do praktycznych potrzeb partyi. Jest to myśliciel, hamowany przez męża stanu, dodajmy mieszczańskiego. Zauważmy w tem miejscu, jak wszystkie sytuacye społeczne określają sposoby myślenia, a próba wyprowadzania systemów naukowych i społecznych jedynie z charakteru autorów, uczyniona przez Fagueta, okaże się znacznie przesadzoną. Royer-Collard przedstawia dziwne połączenie liberalizmu z legitymizmem. Sprzeczność tę autor nasz objaśnia także właściwością charakteru. Nie będąc bynajmniej royalistą, Royer-Collard był człowiekiem władzy: miał wszystkie jej instynkty. Dlatego też marzył o ustroju społecznym, w którym królestwo byłoby prawem, ale nie jedynem; marzył o potędze, obok której mogłyby się znajdować inne siły, pod nią, ale niezależne od niej. Niema w państwie zwierzchnictwa — oto jego system polityczny. Ani król, ani lud, ani Izba nie są zwierzchnicze. Występował więc przeciw każdej z tych władz, gdy wchodziła na drogę uzurpacyi — oto tajemnica jego polityki praktycznej. W r. 1816 jest z rządem przeciw Izbie, w r. 1828 z Izbą przeciw rządowi. Jedynym zwierzchnikiem jest Karta, władza bezimienna i nieosobista, prawo. Karta jest dlań równoznaczna z historyą Francyi. Czyniąc konstytucyę tegoż wieku, co i monarchię, R. Collard tworzył teoretyczną podstawę dla połączenia liberalizmu z legitymizmem. Rząd podzielony na różne władze, które się nawzajem ograniczają, stanowią dla siebie wzajemną przeciwwagę i wspólnie przeciwdziałają stałej groźbie „zwierzchnictwa“ czy to króla, czy izby panów, czy izby gmin. Przywileje w rodzaju feodalnych R. Collard uważa za zbawienne, gdyż stawiały tamę władzom centralnym. Na miejscu ich, ale w tymże tylko charakterze wstawiał on system „swobód,“ które zresztą w jego znaczeniu były raczej obowiązkami. Oprócz instynktów władzy, posiadał jeszcze jej powagę, niebędącą zresztą ani matką nieśmiałości, ani dowcipu. Przeciwnie: przyjaciele również jak i wrogowie drżeli przed jego zjadliwymi sarkazmami. Był uczniem Montesquieu, od którego wiele zapożyczył.

De Bonald jest przykładem scholastyka. W de Maistrze, Rousseau, Montesquieu czujemy arystokratę szydercę, zgorzkniałego plebejusza i gaskończyka, który się bawi, po za Bonaldem nic czujemy nic, oprócz scholastycznej logiki. Człowiek ten wszystkie swe poglądy i filozofię wyprowadzał z liczby 3. W głębi jego, w głębi całego dogmatyzmu znajdujemy nieprzepartą potrzebę myślenia zawsze o tymże przedmiocie. Jest to potrzeba umysłów umiarkowanych, a raczej ograniczonych. Scholastyczna trójka *przyczyny*, *środka* i *skutku* w polityce występuje jako król, kler i lud. Taka jest „natura rzeczy.“ Zdaniem Fagueta jest to „Rousseau przenicowany“ — co jest zupełnie niesłuszne.

Pod pretensyonalnym tytułem „Enquête sur l'evolution litteraire“ p. Huret zebrał kilkadziesiąt rozmów z mniej lub więcej znanymi przedstawicielami francuskiej powieści, poezyi i krytyki. Rozmowy te drukowane były z dnia na dzień w *l'Echo de Paris*, dzięki czemu każdy literat wiedział, jak się o nim wyrażali poprzednio zapytywani i do tego zastosowywał swą odpowiedź. Zresztą nie ma w żadnem zajęciu tyle rozdętej a niezaspokojonej pychy, co w literaturze. Świat polityków nawet zdaje się składać z samych Arystydesów wobec zgłodniałej rozgłosu ciżby pismaków. Nigdzie może teza o uszlachetnieniu się natury ludzkiej, o zaniku instynktów samolubnych nie otrzymuje takiego kłamu, jak w tej dziedzinie. Jeżeli walka pięściowa istotnie osłabła, jeżeli już nie jesteście tak często wystawieni na nóż bliźniego, to ten bliźni chętnie napadnie was na jakimś dziennikarskim trotuarze albo w kącie jakiegoś literackiego bagniska i z rozkoszą pogrąży swe zęby w waszej szyi. Oręż się zmienił, ale zapasy pozostały te same, a w natężeniu wzrosły. Świadectwem, między innemi, książka Hureta. Zdawałoby się, iż autorowie francuscy wdzierają się po jakiejś wieży dla podboju nieba. Każdy ciągnie za poły tych, co go wyprzedzili o szczebel, aby mu kark skręcić i kopie zarazem tych, co są za nim i utkwili mu zęby w łydkach. Wszystko, co ich otacza, to karły, sami zaś są na przemiany Atlasami, to znów Montblancami. Próżność i zazdrość rozlewają się tu niepowstrzymanym potokiem. Młodzi nie przyznają żadnej zasługi swym poprzednikom, starzy nie mogą się zrezygnować na to, aby mieć następców. Oto kilka przykładów: Jan Moréas, przywódca symbolistów znajduje, iż Lecomte de Lisle, „opat Delille naszych czasów,“ Zola „taki sobie gruby romansista, jak Eugeniusz Sue,“ Daudet „niżej wszelkiej krytyki.“ Charles Morice także symbolista do sądów powyższych dodaje jeszcze następujące: „Powiedzmy Maupassantowi: jedno rzemiosło tyle warte, co i drugie, czegóż pan się nie zajmuje giełdą? Lotiemu, sprzedawaj pan nadal swój egzotyczny towar „marzeń“ dla użytku mieszczan i gąsek. Kilku zmarłym, ale jeszcze krzykliwym i pontyfikującym, jak Dumas, Sardou: zamilknijcie już raz nareszcie! Wielkim krytykom, jak Sarcey, Wolff, Fougier: ah! nie mówmy im lepiej nic.“ Najdziwniejsze to, że „młodzi“ gryzą się także pomiędzy sobą. Moréas na zapytanie o R. Ghil'u, przedstawicielu „szkoły ewolucyjno-instrumentalnej“ odzywa się złośliwie: „zajmuję się tylko literaturą.“ Na co znów Ghiel: „Le Pélorin passioné*). Są to wiersze pod fujarkę pisane przez potykającego się o grama-

*) „Arcydzieło“ Moreasa.

tykę.“ Dla Gustawa Kahna: „Moréas nie ma talentu, ale zawsze ma go więcej od innych... Charles Morice nie ma wcale talentu... H. Regnier — ani śladu talentu.“ Nareszcie Verlaine zapytany o określenie symbolizmu, odpowiada: „Wiesz pan, ja mam zdrowy rozsądek. Symbolizm? Nie rozumiem... Musi to być jakiś wyraz niemiecki, co? Zresztą niewiele on mnie obchodzi... Ja jestem ptakiem (tak samo zresztą, jak Zola jest wołem), a są złośliwe języki, które twierdzą, że utworzyłem szkołę papug.“ Tak mistrz wyraża się o swych epigonach. Zobaczmy teraz, co powiadają starzy. Naprzód Zola. „Jest już blizko lat dziesięć, jak znajomi mówili mi: ‚największym poetą naszych czasów jest Karol Moria. Zobaczysz pan, zobaczysz.“ Czekałem i nie zobaczyłem. Czytałem nawet tomik jego krytyki, *Literatura chwili bieżącej*; jest to retoryka dowcipna, ale pełna śmiesznych przesądów... Teraz mówią nam o Moréasie. Cóż to za jeden ten pan Moréas? Co to on takiego zrobił, aby mieć taką pychę? Wiktor Hugo i ja, ja i Wiktor Hugo! Czyż pan widział coś podobnego? Czyż to nie jest szaleństwem? Napisał trzy czy cztery jakieś tam piosenki *a la* Beranger, ni mniej, ni więcej; reszta jest dziełem zwaryowanego gramatyka: wymęczone, niedołężne, bez śladu młodości. Jest to poezya retorty!“ W taki sam sposób Zola zachowuje się wobec całej „bandy“ młodych. Poczem oświadcza, iż ich napady nie zmniejszyły bynajmniej ilości egzemplarzy jego powieści. „Książki nie rozchodzą się dziś lepiej, niż kiedykolwiek.“ Jest to — według niego — najlepszy dowód genialności. Maupassant, którego młodzi pogardliwie nazywają „paplarzem salonowym,“ wykręcił się milczeniem, prosząc, aby go pozostawiono w spokoju, przyczem nie mógł odmówić sobie komplimentu: „Oto, proszę pana, niedawno ofiarowano mi fotel w Akademii... przyobiecano dwadzieścia imion pewnych; odmówiłem, również jak i krzyżów itd.“ Nareszcie Leconte de Lisle uważa młodych za mózgi zwichnięte: „Weź pan kapelusz, wrzuć doń rzeczowniki, przymiotniki, spójniki, wykrzykniki, ciągnij pan na ryzyko i pisz: otrzymasz pan symbolizm, dekadentyzm, instrumentyzm i cały ten galimatyas, który z nich wypływa.“ Renan zaś ogłasza „symbolistów, psychologów itd.“ za „dzieci, które ssą sobie palce.“

L. W.

LITERATURA NIEMIECKA.

Nowe stowarzyszenia literackie w Niemczech. — Odczyt Oli Hanssona o młodej szkole literackiej (Feliks Holländer, Herny Tovote, Herman Bahr). — Nowe powieści: Herberga „Drei Schwestern.“ Wicherta „Der jungste Bruder.“ — Jubileusz Wilhelma Raabego i nowa jego książka „Der heilige Born.“

Tegoroczny ruch literacki w Niemczech nie jest słabszy, aniżeli w latach poprzednich, lecz nie pojawia się zgoła nic, co by się wyróżniało istotnie nową myślą lub prawdziwie artystycznem wykończeniem. Gerhard Hauptmann ukończył nowy, pięcioaktowy dramat p. t. „Die Weber,“ który zawiera naturalistyczny, lecz całkowicie niedramatyczny obraz walki o byt tych biednych rzemieślników w XVII stuleciu. Mimo wszakże jałowości produkcyi literackiej, zajęcie dla nowego kierunku literatury w Niemczech stale wzrasta. Obok stowarzyszeń, których celem jest wystawianie sztuk nowoczesnych („Freie Bühnen“), powstają obecnie w większych miastach towarzystwa literackie, zowiące się „Freie Litterarische Gesellschaften,“ a mające na celu zapoznawanie publiczności z nowolistyką i teoryami estetycznemi nowej szkoło. Istnieją one już dziś w Berlinie, Monachium i Hamburgu. Na niedawnem zebraniu berlińskiej „Freie litterarische Gesellschaft“ Ola Hansson, znany norwegski nowelista i krytyk, przedstawił publiczności pokrótce najnowsze zjawiska na polu literatury „młodo-niemieckiej.“ Obawiając się, że zrazi słuchaczów nieszczególną wymową języka niemieckiego, polecił wygłoszenie odczytu żonie swej, znanej autorce, Laurze Marholm. Para ta nie od dziś wodzi rej śród młodej rzeszy literackiej, posiada bowiem w wysokim stopniu sztukę zręcznego wysuwania na widok własnych osób. Hansson zaznaczył w odczycie swym jako znamię charakterystyczne młodej szkoły niemieckiej to, że posiada ona dużo świeżości i entuzyazmu obok niedbalstwa technicznego, podczas gdy młoda Skandynawia i młoda Francya, celując wykończeniem, wypowiadając w sposób mistrzowski najskrytsze odcienie myśli, okazuje zarazem smutny przesyt, grobowy pesymizm. Jako wymowny okaz niemieckiego sposobu pisania, obrał Hansson powieść młodego autora, Feliksa Holländera „Magdalene Dornis.“ Język w niej liche, przytem za mało obserwacyi, za dużo entuzyazmu; jest to pierwsza książka „młodego Adama, który kocha Ewę“; lecz zarazem tyle w niej prawdziwie poetyckiej wyobraźni i subtelności uczuć, że przykuwa ona czytelnika. Wybitniejszą indywidualnością poetycką jest Herny Tovote, autor powieści „Frühlingsturm.“ „Der Erbe“ i „Liebesrausch.“ Hansson uważa Tovota jako najzdolniejszego erotyka młodej szkoły, podnosi bystrość jego spostrzeżeń psychologicznych, piękny rytm języka i zdolność oddawania wszelkich mglistych nastrojów w przyrodzie.

Nowego zapaśnika pozyskała młoda szkoła literacka w Jerzym Egestorffie, który ogłosił powieść p. t. „Die Sünde.“ Temat nie nowy: są to sentymentalne dzieje młodej śpiewaczki, którą uwiódł oficer pruski, a która z rozpaczy się topi. Sprawca jej niedoli, któremu względy towarzyskie zabraniały uprawnić związek, poświęca się „pracy dla dobra innych,“ aby uspokoić swoje sumienie. Co zaś Egestorffa poleca, to niezwykła u młodych realistów niemieckich dążność do zapanowania nad stroną techniczną, zwięzłość i trafność słowa. Najdłużej zajmował się Hansson Hermanem Bahrem. Jest to jeden z najbardziej uzdolnionych członków tej grupy, która chętniej zwie się „Die Moderne,“ aniżeli szkołą realistyczną lub naturalistyczną — nazwa znacznie stosowniejsza, gdyż w tej szkole, która zrazu stała pod hasłem naturalizmu, panuje najzupełniejsza swoboda w wyborze tematów, formy, całego tonu utworów. Wydaje ona dziś poematy romantyczne i powieści realistyczne, najbardziej zaś skłania się do kierunku Musseta. Herman Bahr zaś łączy w sobie wszystkie kierunki nowej szkoły, a raczej przerzuca się bezustannie z jednego w drugi. Słusznie Hansson nazwał go „kameleonem“ i zaznaczył jako główną jego cechę niesłychaną wrażliwość. Tajemnicą tej zmienności u Bahra jest brak własnej, silnej indywidualności. Niespokojny umysł nie wie, czego się chwycić i jak wykonać. Napisawszy szereg szkiców psychologicznych, wyzyskawszy grunt berliński w duchu szkoły skandynawskiej, znikł nagle, po roku zaś wydał opis podróży po Hiszpanii. Obecnie ogłasza pamiętnik swój z podróży po Rosyi.

Wykład Hanssona uzupełnimy sprawozdaniem o najnowszych pracach powieściopisarzy bardziej już znanych krytyce i publiczności. Herman Heiberg, odkąd został autorem „ulubionym,“ nie przestaje sypać obficie utworów, które jemu coraz więcej, publiczności zaś coraz mniej przynoszą korzyści. Najświeższy „Drei Schwestern“ okazuje w wysokim stopniu upadek, łączący się nieodbicie z chorobą zarobkowania. Realizm polega na tem, że akcya kręci się około spraw majątkowych. Trzy siostry odziedziczyły majątek rodzicielski. Pierwsza z nich umieściła pieniądze swe na hipotekach, druga użyła ich do przedsiębiorstwa, trzecia przepuściła je, żyjąc sobie wesoło i dostatnio. Naturalną koleją rzeczy „ta trzecia“ z czasem zwraca się do swych sióstr, prosząc je o pożyczkę; udaje się jej wszakże jedną tylko nakłonić do podobnie wystawnego życia, jakie przedtem sama wiodła, a po pewnym czasie i ta druga zostaje bez grosza. Nie jest to historya nowa, ani oryginalna, a że i charakterystyka osób dość powszednia, przeto książka Heiberga nie wznosi się bynajmniej po nad poziom literatury, przeznaczonej dla wypożyczalni.

Karol Perfall, należący również do uznanych już powieściopisarzów, przedstawia najchętniej zajmujące typy kobiece. W poprzedniej swej powieści „Die fromme Wittwe,“ nakreślił postać dzielnej kobiety, która stacza zwycięzką walkę z zabobonem i ukrytym materyalizmem religijnym, pragnącym ją usidlać. Teraz w dziewczynie młodej, o demonicznym wdzięku, ucieleśnia przyrodzoną zasadę „miłości naturalnej,“ pozostającej w niezgodzie z normami społecznemi („Naturliche Liebe“). Bohaterka jest córką poczmistrza w wiosce bawarskiej. „Grzeszna“ piękność jej wywiera czar niesłychany. Jest to raczej studyum psychologiczne, aniżeli powieść; snać autor liczył tylko na czytelników dojrzałych i poważnych.

Z wybitnie społeczną powieścią występuje Ernest Wichert. „Najmłodszy brat“ („Der jungste Bruder“). Bohater jej jest stolarzem. Z całą sympatyą stoi autor po stronie warstwy społecznej, do której należy ten bohater; a inne koła towarzyskie, o ile je Wichert przedstawia, okazują się czytelnikowi w świetle najgorszem. A zatem przedewszystkiem ów radca, który wobec przełożonych okazuje posłuszeństwo ubezwładnionego zupełnie człowieka; ów oficer karyerowicz, który poślubił dobroduszną Sarę, córkę próżnego bankiera Hirschla; żona radcy, która jest typem pobożnej damy, zajmującej się filantropią; lub wreszcie owa stara panna Ulryka, szlachcianka, która straciwszy nadzieję odpowiedniego zamążpójścia, decyduje się wreszcie na zaręczyny z owym „najmłodszym bratem“ męża kuzynki (radcy), który, jak wspomnieliśmy, jest rzemieślnikiem. Lecz ów najmłodszy nie traci zdrowego, chłopskiego rozumu; lepiej, aniżeli owa stara panna, podoba mu się w domu brata służąca Fryderyka, dziewczyna rozsądna, cnotliwa i ofiarna. Koło robotnicze studyował autor z prawdziwem zamiłowaniem. Wprowadza nas do domu kuzynki służącej. Powieść kończy się zupełnem nawróceniem bohatera do sfery, z której wyrósł, a z której brat go chciał wyrwać. „Nareszcie wróciłem do porządku właściwego i w nim chcę pozostać.“ „Miałem zostać robotnikiem i zostałem nim.“ Chociaż nikt nie odmówi autorowi szczerych i serdecznych uczuć dla klasy robotniczej, przeprowadzenia powieści żadną miarą nazwać nie możemy postępowem. Przedewszystkiem bohater, ów „brat najmłodszy,“ jest godną pożałowania jednostką, której brak wszelkiej samoistności i którą rzucają jakby piłką wprost niegodnie. Autor ośmiesza go świadomie dla udowodnienia, że robotnik powinien zostać w sferze własnej.

Na zakończenie parę słów o najnowszej książce Wilhelma Raabego „Der heilige Born.“ Jest to utwór napisany w początkach karyery powieściopisarskiej autora, a wydany z powodu sześćdziesiątej rocznicy jego urodzin. Talent Raabego występuje tu z większą jeszcze siłą, aniżeli w pierwszej jego pracy „Chronik der Sperlinggasse.“ Opisuje on w nim życie towarzyskie, które przed trzystu laty wypełniało zamki, klasztory i miejsca kąpielowe Brunszwiku. „Der heilige Born,“ to wody pyrmonckie. Raabe dowiedział się z kronik XVI w., że w Pyrmoncie przesiadywała demoniczna Fausta la Tedesca, która uciekła z Bolonii

gdzie zbałamuciła całą młodzież. I w Niemczech przepadł niechybnie każdy, co ją zoczył; zawraca ona głowę Spiegelbergowi, patronowi wód pyrmonckich, który z rozpaczy idzie na wojnę i ginie w bitwie pod S. Quentin. Widzimy zresztą inne jeszcze zajmujące postacie: ociemniałego czarnoksiężnika Szymona, godnego lekarza Spada z Bolonii, wreszcie kawalera weneckiego de Campolani. Akcya niesłychanie skomplikowana i dramatyczna, często krwawo czytelnikowi otwiera widoki, częściej zaś obraca się w dziedzinie humoru, gdzie Raabe jest mistrzem.

W rocznicę urodzin przyjaciele jego obmyślili niespodziankę oryginalną, a milszą dla poety, aniżeli złote kałamarze lub wieńce laurowe. Późną godziną wieczorną naszli go niespodzianie i napełnili pokoje, ubrani w kostiumy i maski głównych figur jego powieści. Wśród tego wesołego zastępu było też parę postaci z najnowszej, a poeta serdecznie ucieszony był temi żywemi ilustracyami swych utworów.

Ladawa.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

LISTY PETERSBURSKIE.'

Ggdy głód ukazał swe oblicze, ludzie energiczni, nie badając przyczyn i skutków, rzucili się do pomocy. Dopiero gdy ochłonięto z pierwszego wrażenia, zaczęto roztrząsać istotę rzeczy.

L. Tolstoj wyraził zdanie: pomoc mniej jest ważna, trzeba lud kochać. Słowa te stały się materyałem dla dowcipów, i rzeczywiście bez wyjaśnienia brzmią one dziwnie. Człowiekowi, co siedzi na zgliszczach domu, nie wiele to sprawi uciechy, jeśli przechodnie będą twierdzili, że kochają go, a na noc pozostawią głodnego i nagiego.

Nie dziw więc, że p. Sołowjow w ostatnim miesięczniku *Wiestnika Jewropy* powiada: Nie rozumiem takiej oderwanej miłości, zresztą lud nasz żyje zgodnie z ideą, tych, co go kochają, siedzi bowiem na roli i obcy jest wszelkiej wiedzy. Czemu więc pierwszego nieszczęścia zwalczyć nie może? Mniemałbym, że mu nie starczy kultury, tj. mianowicie tego, co podług przekonania kochających lud jest dlań szczęściem... Zamiast dążyć na wieś, aby się uczyć u ciemnych, jak żyć, byłoby lepiej, gdyby światli uczyli go walki z przyrodą.

Z listów p. Michniewicza, korespondenta gazety *Nowosti*, widać, że nader energiczna jest działalność p. gubernatora Niższego Nowogrodu. Kiedy inni rozmyślali nad biedą, on wszedł w układy z kupcami i zamówił dostateczny zasób żyta po cenach niższych, niż były na rynku. Jak wiadomo chleb jest rozdawany pod ogólną odpowiedzialnością włościan; kto się opuścił, nie myśli o zwrocie, bierze, ile mu dadzą; to też zabiegliwsi wiedząc, że znaczna część ciężaru spadnie z czasem i na nich, także zaciągają dług, aby choć w części wynagrodzić sobie przyszłą stratę. Było i takie zjawisko: wyznaczono 50 tysięcy rubli na roboty w lasach rządowych i na razie nie znalazło się chętnych do pracy, aż przyszli robotnicy z dalszych miejscowości i wzięli zarobek.

Profesor Musnicki mniema, że głód jest zjawiskiem przewidzianem: Wywozimy — powiada — zboże, bydło, lasy, rośliny... jeśli dalej tak będzie, ujrzymy się wśród pustek. Czas pomyśleć o krzewieniu lasów, o hodowli na większą skalę bydła, o nawozie.

Jako ilustracyę do tego głosu dodamy znany fakt. Na Wołyniu ks. Lubomirski sprzedaje dziesięć tysięcy dziesięcin lasu za 120 tys. rubli; p. Rosenberg kupuje go od nowego właściciela za 200 tysięcy i wnet odstępuje niemcowi Köne za 220 tysięcy. W parę miesięcy zaczyna się trzebienie.

W zakresie literatury nowin wybitniejszych nie mamy. Patapenko po kilku nader wybitnych nowelach zamieścił (*Siewiernyj Wiestnik*) powieść większych rozmiarów i zginął marnie. Tak niesmacznej rzeczy od pisarza utalentowanego nie można się było nawet spodziewać.

Wiestnik Jewropy drukuje powieść p. t. „Artystka“ nowej gwiazdy p. Krestowskiej. Jest to utwór mający cechę dnia jesiennego: mgła, chłód, mróz i rzadki przebłysk promyków: ani artyzmu, ani tendencyi — pogadanka bezcelowa dla zabicia czasu.

Trupa polska w tym roku co do działu męzkiego jest równie dobra, jak przeszłoroczna, personel zaś żeński znacznie lepszy. Niestety, artyści częstokroć są zmuszeni dawać przedstawienia śród pustek, albowiem... usłuchaliśmy wreszcie nawoływań moralistów i staliśmy się oszczędnymi. A ponieważ do zbytków materyalnych przywykliśmy całemi pokoleniami, duchowe zaś są nowszej formacyi i nie zrosły się z naszym organizmem, więc nie dziw, że zaczęliśmy od ograniczania tych ostatnich potrzeb. Mamy nadzieję, że wytrwałość nasza w tym względzie odstraszy przybyłych artystów na długo.

W kościele św. Katarzyny na Newskim odbyły się niedawno wybory syndyków, obrano prawie jednogłośnie pp. Rudzkiego i Czapowskiego. W tym zarządzie wszystko idzie ku lepszemu.

Przed wyborami uprzedni pp. syndycy uczynili sprawozdanie za rok 1890 i jednocześnie przypuszczalny rezultat za r. 1891. Widzimy tedy, że przeszły rok dał niedoboru 7,500 rs., zaś w teraźniejszym, nie bacząc na znaczne zatraty dla ulepszenia szkoły męzkiej, zostanie czystego dochodu 6,000 rs. — takich rezultatów nie mieliśmy *nigdy!* A ponieważ p. Rudzki wstąpił do zarządu w początku r. 1891, nic dziw więc, że zmianę na dobre przypisujemy jego energii. P. Czopowski znany jest ze swej niezmordowanej, dodatniej pracy w zarządzie dobroczynności — tuszymy więc, że wreszcie mamy takich syndyków, o jakich marzyliśmy oddawna.

W tym roku pp. syndycy dla zapisywania w zakrystyi metryk chrztu, ślubów itd., a więc i dochodów z nich uprosili młodszych księży i odrazu dochód stanął na tak wysokim poziomie, o jakim przedtem, gdy zakrystyanie tem się troszczyli, nawet marzyć nie było wolno, co dowodzi, że dbałość ich nie należała do idealnych.

Latem ustąpiła ze szkoły żeńskiej przełożona, która pełniła swój obowiązek nader starannie, to też chociaż przebyła na pensyi zaledwie półtora roku, otrzymała uroczyste podziękowanie i podobno pewną sumkę...

Z innej strony nauczycielka p. Chwietkiewicz, która oddała najlepsze swe siły szkole, po siedemnastu latach nie otrzymała nawet prostego podziękowania. Nie mówimy już o p. Bourdon, która ma zaledwie dziesięcioletnie zasługi i chociaż nic zawiniła wobec szkoły, lecz zawiniła względem przełożonej...

Pozostawiamy tę kwestyę tymczasem na uboczu, pp. syndycy bowiem mają zamiar zbadać ją. Niepodobna przecie, aby 17 lat chociażby *małych* zasług nie zaważyły tyle, ile waży półtora roku *wielkich*.

N. B.

PAMIĘTNIK.

Zakaz wywozu pszenicy.

Powstrzymanie odpływu pszenicy nie spadło ani na stosunki tutejsze, ani na zagraniczne wielką niespodzianką i poważnym kłopotem, jak zakaz wywozu żyta. Naprzód bowiem znaczna część zapasów została już wyprzedana, powtóre Europa zaopatruje się w ten produkt z innych jeszcze i to bardzo obfitych źródeł. wreszcie pogłoski, zapowiadające zamknięcie granicy, obiegały już oddawna. Nie chcemy jednak twierdzić, że fakt ten nie posiada doniosłego znaczenia. Naturalnie nas głównie interesuje jego wpływ na ceny miejscowe. Gdybyśmy następstwa zabronienia wywozu żyta przenieśli na pszenicę, należałoby wnioskować, że ona wcale nie stanieje. I według wszelkiego prawdopodobieństwa tak będzie, przynajmniej zachowanie się rynku w pierwszych dniach po zamknięciu granicy zachęca do tego przypuszczenia. Czy tu działają same skąpe rezultaty omłotu a wielkie potrzeby wewnętrzne, czy też na podwyżkę cen oddziaływa spekulacya — trudno orzec stanowczo, gdyż trudno zoryentować się w zapasach, niedoborach i konsumcyi olbrzymiego państwa, zwłaszcza przy braku doniesień pewnych i obliczeń ścisłych. Wszelkie twierdzenia w tej niejasnej i powikłanej sprawie są tylko domniemaniami, które nieraz trafiają przypadkowo w prawdę, nie opierają się jednak na żadnej mocnej podstawie. Producent rolny, posiadający zapasy niesprzedanego zboża, radby naturalnie usłyszeć nieomylną wróżbę i wskazówkę, co ma czynić; wątpimy, ażeby ktokolwiek mógł mu dać dobrą radę. Stoi on wobec gry, więc musi ryzykować.

W.

Święcenie niedzieli.

Pochopność pryncypałów, z jaką oświadczają się za święceniem niedzieli, dowodzi, że dla tej sprawy dojrzała już potrzeba. Lista właścicieli fabryk, sklepów, domów handlowych i tym podobnych zakładów skorych do ustępstw w tej mierze — codzień się powiększa. Różni w różnym stopniu chcą czynić ulgi, jedne firmy gotowe są uwalniać najemników w niedzielę bez żadnych zastrzeżeń, inne znowu pragnęłyby ten dzień święcić pod warunkiem „załatwienia niezbędnych dla dobra interesu czynności, przez urządzenie kolejnego dożurowania pracowników.“ Niektórzy ze zwolenników przysłowia o wilku i kozie, pomieszczając swoje nazwiska na liście głosujących za ustępstwem, uznali siebie za wzór, według którego inni mają postąpić. W ich zakładach, jak temu wierzy *Kur. warsz.*, panuje „nieobciążający“ zwyczaj, że każdy z najemników bywa zajęty co piąte święto i odwrotnie — reszta bywa wolna od zajęć co piąte święto. Tak rzecz wygląda z daleka w oczach reportera, zamglonych tęgim maślaczem — inaczej zblizka i po trzeźwemu. Co piąte święto (czyli co piątą niedzielę), ten, który w owych zakładach bywa zajęty, dożuruje nie do 4-ej po południu, lecz do 8-ej wieczorem, wolni zaś od zajęcia — zaprzątnięci są robotą do 4-ej po południu.

Żeby nie targować kota w worku, nie działać na oślep i przy ustępstwie nie unieść się zbyt daleko dobrocią serca, ktoś z interesowanych zasięgnął wskazówek w Anglii. Źródło informacyjne nie mogło być lepiej wybrane: wszak kraj ten stoi na najwyższym stopniu rozwoju przemysłowo-handlowego, tam czas pracy mierzy się najsłuszniejszą w całej Europie skalą, a okiełznanie samowoli jednostek wyraziło się w obecnej chwili najdobitniej. Powiadomienie więc co do niedzieli nadesłane z Manchesteru brzmi tak:

„W niedzielę wszystkie zakłady, jak i teatry są zamknięte; koncerty nie mogą się odbywać, tak samo, jak zabawy taneczne itp.; restauracye wszystkie muszą być zamknięte; zaledwie tylko hotelom dozwolono w pewnych godzinach (od 12¼ do 2¼ po południu i od 5 do 10 wieczorem) załatwiać czynności; na te ostatnie zwrócona jest pilna uwaga i w razie najmniejszego przekroczenia odbiera się koncesyę. Komunikacya kolejowa również w niedzielę jest mało ożywiona: pociągi kuryerskie, jak i miej-

scowe, prawie zupełnie są próżne, gdyż nikt w dniu tym nie wyjeżdża, jeżeli nie jest do tego zmuszony ostatecznością. Tramwaje kursują bardzo mało. Telegramy tylko w większych miastach, gdzie się znajduje główny zarząd pocztowy, są ekspedyowane i roznoszone. Listy (w Manchesterze) w niedzielę są doręczane tylko zrana, zaś w ciągu dnia wcale, a w innych miejscowościach niedziela pod tym względem obserwuje się jeszcze surowiej, np. w Londynie w niedzielę listy wcale nie są rozsyłane. Wogóle niedziela w Anglii jest dniem zupełnego wypoczynku, dla przyjemności zaś przeznaczona sobota od południa i dlatego w tym dniu wszystkie fabryki, składy itp. zamykają się już o godz. 1-ej." Pokrewne informacye nadesłał Londyn, a brzmią one niemniej korzystnie dla „próżniactwa niedzielnego."

„W sprawie zamykania interesow w niedziele i święta donosimy chętnie, iż tutaj niedziela uważaną jest za dzień zupełnego wypoczynku. Wszystkie zakłady w dniu tym są zamknięte. Pociągi kolejowe wychodzą tylko w pewnych porach dnia, a w godzinach nabożeństwa ruch zupełnie ustaje. Urzędy telegraficzne i pocztowe, z wyjątkiem kilku na wypadek nagłej potrzeby, w niedzielę również są zamknięte. Są również zamknięte wszystkie wielkie składy."

Taką dojrzały i wytresowany przebiegiem życia „łyk" angielski dał odpowiedź niedojrzałemu i niewytresowanemu jeszcze „łykowi" naszemu. Teraz, mając przed sobą ogrom dokonanych po tamtej stronie kanału ustępstw, niech on z dziwu otworzy usta i ową rozległą skalą zmierzy to, co ma do zrobienia u siebie. Sprawa już dojrzała, wzory cudzego doświadczenia są na podorędziu, ale czy natarczywość wymagań i ustępczość nasza są dostateczną treścią, żeby jej nie zabrakło przy wlewaniu w tak obszerną formę?.. *Z. A. P.*

Przeciw „błękitnemu poniedziałkowi."

W kilku fabrykach warszawskich przedsiębiorcy wprowadzili zwyczaj wypłacania robotnikom zarobków tygodniowych—w poniedziałki. Skutek tej zmiany wystąpił niebawem w zmniejszeniu się „poniedziałkujących" najemników do 75%. Reforma ta w gruncie rzeczy jest tylko wybornem zrozumieniem swojego interesu. Jak jednak wiele temu podobnych zjawisk, tak i ten prosty objaw korzyści osobistej jednostek — rychło przyobrano w draperyo humanitarne. Dobro to, przez szkiclko „harmonii interesów" i *Kuryera warszawskiego* wygląda tak: „Od tej pory w fabrykach tych dobrobyt pracujących jest widoczny, a co ważniejsza, stwierdzono zmniejszenie się pijaństwa..." Wobec tak świetnych wyników *Kuryer* zagrzewa i inne fabryki do naśladownictwa, a nawet na podstawie informacyj „z kompetentnego źródła" żywi nadzieję, że ten zamach prywatny na „poniedziałek błękitny" znajdzie wkrótce silniejsze poparcie.

Czy ten środek istotnie uczyni dobrobyt poniedziałkujących aż widocznym, wątpimy, ale że listę nieobecnych w *blaumontag* zmniejszyć może nawet powyżej 75%, przypuszczamy. I temu też zaprzeczyć trudno, że o ile szynki na tem ucierpią, zyska poniekąd domowa gospodarka najemnika. *Z. A.*

Zorganizowane umizgi

Stała wystawa prób i wzorów w Warszawie, zdaje się, wkrótce nakaże sobie większy szacunek u sceptyków, bo się rozwija i bodaj pozyska byt trwałej i niezbędnej instytucyi. Byłoby dziwniejszem, gdyby naraz zanikła, gdyż poczęła się z niewątpliwej potrzeby organizacyi zbytu miejscowej produkcyi i korzeniami swoimi wrasta w najżyzniejszy grunt — w Interes kapitału. Z tego, co o tej wystawie teraz wiadomo, widać, że ona weszła już w fazę gorączkowego nawiązywania stosunków z najodleglejszymi nawet punktami rynków wschodnich: ma korespondentów nietylko w Petersburgu, Moskwie, Jarosławiu, Kijowie, ale i w Archangielsku, Astrachaniu, Ufie, Usan-Adzie, Taszkencie, Samarkandzie, Władywostoku — co więcej: w Konstantynopolu, Smyrnie, Warnie, Bukareszcie, Sofii i Burgasie. Weszła w stałe porozumienie z przeszło 147 miastami. W ostatnich miesiącach cyfra zwiedzających ją wynosiła przeciętnie 350 osob na miesiąc, w czem 24% stanowili kupcy, 7% przemysłowcy, 16% agenci i komisyonerzy, 14% rzemieślnicy, czyli wogóle 61% przemysłu i handlu. Co do miejscowości, z których zwiedzający pochodzą, kontrola wykazała: 35% z Cesarstwa, 21% z prowincyi, 4% z zagranicy, resztę z Warszawy. Najsilniej były reprezentowane: Petersburg, Moskwa, Odesa, Charków, Kijów, Białystok, Ryga, Kowno, Grodno, Ekaterynosław, Mińsk, Witebsk, Astrachań, Tyflis, Łomża, Lublin, Włocławek, Kielce, Częstochowa, Tomaszów, Kalisz, Radom, Sosnowice, Zgierz, Pabianice, Ozorków, Łódź i Warszawa. Informacyj udzielano miesięcznie przeciętnie 50. Reklama wystawy, czyli uczestniczących w niej firm, nie drzemała także: wylewała się w powodzi katalogów i ogłoszeń, nawołujących wielkim głosem ze ścian stacyj kolejowych, kantorów przewozowych, hoteli, gazet — wszędzie ze słodkim umizgiem poszukując kupca.

Zarządzający wystawą (p. T. Zaleski) wiele już zrobił dla sprawy zorganizowania zalotów naszego przemysłu i setki osób zainteresowanych nią wiele mówią, ale póki za temi cyframi nie pójdzie liczba, wykazująca wzrost wywozu, obecne zabiegi nie przestaną robić wrażenia pluskotania szczupaka, miotającego się w sadzawce reklamy... *Z. A.*!

Warsztaty rzemieślnicze.

Stowarzyszenie wzajemnej pomocy subiektów handlowych wyznania mojżeszowego w Warszawie w świeżo wydanem sprawozdaniu swojem za rok ubiegły poznajamia nas z rozwojem warsztatów rzemieślniczych, zaprowadzonych przy tej instytucyi dla młodzieży izraelskiej. Ponieważ żydzi przedstawiają u nas dość znaczny procent w pracy rękodzielniczej, więc kierownikom tego przedsięwzięcia nie chodziło tylko o ilościowe pomnożenie ich liczby, ale o jakościowe uzdolnienie, o wykształcenie takich, których jest najmniej i których przyrost byłby najbardziej pożądany. W urzeczywistnieniu tej myśli pominięto zupełnie zawody łatwe, niewymagające długich przygotowań i najliczniej uprawiane (np. krawiectwo, szewctwo itd.), a wybrano trudniejsze i potrzebujące dłuższej nauki, mianowicie: stolarstwo meblowe i ozdobne, snycerstwo i tokarstwo. Z początku uczniowie zajmowali się w warsztatach po kilka godzin dziennie, gdy jednakże taka krótka nauka nie dała rezultatów dodatnich, a nawet pod względem moralnym dała ujemne, przedłużono ją do godzin 8. Prawie wyłącznie korzystają z niej dzieci ubogie, które też otrzymują rano i wieczorem po szklance herbaty z bułką, a niektóre dostają nadto bezpłatne obiady. Kierownicy zakładu i autorowie sprawozdania są zupełnie zadowoleni z rezultatów działania warsztatów i skarżą się tylko na szczupłość środków, która im pozwala na kształcenie zaledwie 30 kilku uczniów. Tym usiłowaniom życzyć należy jaknajlepszego powodzenia. *Z.*

Nowy rodzaj.

Ciekawe widoki przedstawia nieraz magazyn redakcyjny, w którym składane bywają rękopisy niezliczonego zastępu robotników muzy. Ile tam dziwnych logik, dziecięcych wynurzeń, błysków prawdziwego talentu, znamion umysłowego niedołęztwa, płodów bezskrzydłej wyobraźni i dowodów daremnego pasowania się z gramatyką! Nie będziemy obrachowywali, bo zresztą nie podołalibyśmy temu zadaniu, ogromu sił marnowanych w tej produkcyi, wypełniającej z wytrwałością Danaid bezdenne kosze; chcemy tylko dziś zwrócić uwagę na jeden objaw charakterystyczny i pouczający. Pomimo całej różnicy, jaka zachodzi między literaturą drukowaną i cenioną a ćwiczeniami i próbami sił, ginącemi w magazynach pism peryodycznych, zachodzi tu dość wyraźne pokrewieństwo. Wszystkie te, nawet najnieudolniejsze roboty są odbiciem charakterystycznych rysów piśmiennictwa; innemi słowy, każdy kosz redakcyjny jest zawsze podobny do prasy. Co on mieści w karykaturze i nieudolnej postaci, to ona posiada w formach doskonalszych. Skoro tylko ukaże się w szrankach Orzeszkowa, Konopnicka, Sienkiewicz, Prus, nawet Hajota lub Czapelski, natychmiast powstają całe roje Orzeszkowych, Sienkiewiczów lub Czapelskich, które składają swoje jajeczka w redakcyach. Jedne z tych jajeczek wylęgają się, dając życie różnobarwnym motylom, inne giną. Otóż kilkakrotnie już zdarzyło nam się otrzymać rękopisy, ukazujące nową rodzinę autorów. Jeden z nich, zatytułowany „nowelką," obejmował 27 wierszy, zawierał przytem dedykacyę i był podpisany przez dwu autorów. Kiedyindziej uważalibyśmy to za figiel, lub dziwaczny wybryk, teraz musimy uznać za naśladowanie i odbicie pierwowzorów. Rzeczywiście w prasie naszej zaczęły od pewnego czasu pojawiać się obrazki, które biegły kaligraf wschodni mógłby spisać na ziarnku grochu, a które ujawniają swoją pretensyonalność w dedykacyach przyjaciołom i nieraz są robotą składkową. Co to znaczy? Po prostu fabrykacya galanteryi dziennikarskiej wysila się na świeże pomysły, probując, czy nie wpadnie na taki, który by zyskał powodzenie. Czytelnicy obawiają się może, ażeby ta wynalazczość w dalszym swym rozwoju nie doszła do tego, że kiedyś pisma peryodyczne zamieszczać będą utwory tego rodzaju:

KASA OGNIOTRWAŁA

Nowela

przez

Karola Szczygła i Jana Gila.

Naszej naiwnej poświęca
Autorowie.

Człowiek cnotliwy jest kasą ogniotrwałą, bo posiada w sobie skarb, którego nie spali ogień.

Koniec.

Ale nie lękajcie się, to nam nie grozi. Zanim ten gatunek wyrobów literackich ulegnie jakiemuś rozwojowi, ustąpi z rynku innym, które pojawią się znowu z pytaniem do spożywców: a może my będziemy miały szczęście? — i znikną. Kurz ma jeden tylko przymiot, ale wielki: łatwo daje się zdmuchnąć lub zetrzeć. *O.*

Pomnik Moniuszki.

Nie, pomnikom, przynajmniej na pewien czas, dajmy pokój, bo nam się stanowczo nie udają. Nie potrzebujemy przypominać, ile razy przewrócił się w grobie Mickiewicz, usłyszawszy harmider krakowski w najrozmaitszych komitetach, większych i małych, oraz wyroki konkursów. Dla Moniuszki wymagano mniej, ale też i mniej osiągnięto. Utwór p. Marczewskiego jest bardzo dobry, brak mu tylko jednego warunku, ażeby wyobrażał nie Moniuszkę, ale jakiegoś dyrektora, który długo starał się o swą posadę, wreszcie ją otrzymał, usiadł na fotelu, odrzucił w tył głowę i rzekł: od dziś ja tu pan! Mamyż z tego robić zarzut Mierzwińskiemu, który złożył konkurs, zaopatrzył go w środki i nie probując dalej szczęścia, odrazu z nadesłanych modelów jeden wybrał? Bynajmniej. Było to najpraktyczniejsze załatwienie sprawy. Drugi bowiem konkurs — jak nauczyło doświad-

czenie — nie dałby plonu lepszego, a pomnożyłby koszty, opóźnił przedsiewzięcie, narobił kwasów, wywołał protesty i całą tę wrzawę, która u nas zwykła towarzyszyć wszystkiemu, a zwłaszcza przewlóczonym konkursom. Będzie Moniuszko wyglądał, jak zadowolony dyrektor, jak radca, może wreszcie jak zamożny mieszczanin, przeglądający rachunki dochodu z kamienicy— ale ma pomnik. *W.*

Protest.

W nr. 322 *Kuryera codziennego* umieszczone jest niby sprawozdanie z posiedzenia sekcyi teoretycznej Towarzystwa ogrodniczego, zawierające zarazem krytykę odczytu p. Palmirskiego p: t. „Biologia, jej stanowisko w układzie nauk przyrodniczych i zagadnienia.“ Nazywam ten artykuł niby sprawozdaniem, gdyż: 1) zawiera on fałszywe podanie względnej ilości obecnych członków sekcyi, a nienależących do niej gości, posiedzenie bowiem składało się z wyjątkiem paru osób (do których oczywiście należał i reporter *Kuryera*) tylko z fachowo wykształconych przyrodników; 2) nie zdaje sprawy z całego posiedzenia, ale jest tylko niesumiennym pamfletem, skierowanym przeciwko p. Palmirskiemu. Nie będziemy roztrząsali tu zawartości tego pamfletu, w którym ze swobodą salonowca w 30 wierszach załatwia się autor z poważną rozprawą naukową a który naszpikowany jest frazesami, jak „niesłychana plątanina stylistyczna,“ „zamętny mistycyzm,“ w którym p. Palmirski nazwany jest „mniej odpowiedzialnym członkiem,“ a praca jego „wypracowaniem.“ Powiemy tylko, że jeśli autor jego nie zgadzał się z wygłoszonemi przez prelegenta założeniami, to najprostszym i najuczciwszym sposobem krytyki było wystąpienie jawne z zarzutami wobec tych, którzy rozprawę słyszeli. Ale widocznie brakło mu odwagi do takiego turnieju wobec specyalistów, wolał więc zwymyślać odczyt w *Kuryerze*, osłonięty przyłbicą pseudonymu, którą zakrył całe swe oblicze, z wyjątkiem uszu, wolał przedstawić w fałszywem świetle rzecz, której szersza publiczność nie zna i na której nie pozna się nawet wtedy, gdy ją będzie miała w druku. Po takim wyborze pola walki i broni łatwo mu już przyszło posądzić p. Palmirskiego o upodobania witalistyczne i rzucić np. twierdzenie, „że wszystkie pozytywne rezultaty w biologii zostały osiągnięte w drodze badania mechanicznych i fizyko-chemicznych warunków życia,“ chociaż pomijając niedokładność wyrażenia, drogą tą postępuje nie biologia w tem znaczeniu, jak ją pojmuje p. P. zgodnie z większością biologów fachowych, ale fizyologia, której wyróżnienie od biologii stanowiło właśnie główny przedmiot wykładu. Gdyby szan. reporterowi znany był traktat Nägeliego nieco więcej, niż z tytułu, nie uciekłby się prawdopodobnie do tak niebezpiecznego zestawienia.

Wobec tego zakładam tu protest w imieniu własnem i kilku kolegów przeciwko takiemu szkalowaniu przekonań naukowych, z któremi można się nie zgodzić i polemizować, ale które zasługują na poważne roztrząsanie, nie zaś na kuryerowe drwiny*).

Wł. M. Kozłowski.

Ze swojskiej niwy.

Szanowny Redaktorze. W kilku pismach peryodycznych zamieszczane są stałe: aforyzmy, bańki mydlane, ziarnka mądrości itp. klejnoty dowcipu, humoru lub rozumu. Prawie wszystkie te cenne drobiazgi są kradzione, pożyczane lub jawnie brane z literatury zagranicznej. Gdy pod nimi czytam (a zwykle nie czytam): Dumas, Voltaire, Chamfort, Saphir, *Fliegende Blätter* itd., zawsze dziwię się, czemu unikamy własnych kopalni i wyczerpujemy cudze? Czyż w naszem piśmiennictwie, a zwłaszcza w prasie brak żył złotodajnych? Ażeby zdziwienie to poprzeć dowodem, przytoczę parę przykładów:

Perła filozofii: „W chwili gdy *my* mężczyźni *zwątpiliśmy* silnie o potędze wiedzy, uwierzyły w nią kobiety. T. Jeske-Choiński.“ (Śliczne w tym aforyzmie jest zwłaszcza owo *my*).

Perła stylistyki ozdobnej: „Jeżeli zajrzawszy na scenę poważnego domu prac ustawodawczych, spotkaliśmy się tam z fabryką bardzo chudej bryndzy, to zapewne przekroczywszy złociste podwoje salonu dyplomatycznego, staniemy słupem, zmiażdżeni podziwem nad krosnami, obejmującemi dziwnie delikatną przędzę rozumu stanu?

Pustki i cisza! Sza, przychodniu. Nie ruszaj ani krokiem naprzód, bo przygłuszysz subtelne echa, ze wszystkich kątów wychodzące, echa znanych ci z głębokości i realizmu mów Rudiniego, Salisburego i Kalnokego, ale przypominające mimowolnie ostatnie tchnienie suchotników...

Mało cię to obchodzi, czytelniku, chcesz nowych rzeczy — co?

Dobrze, więc chodźmy za te małe drzwiczki na lewo, tędy płynie kastalski zdrój zakulisowych informacyj itd.“ W. Ol.

Tu także wszystko jest piękne, ale szczególnie „bryndza“ i „drzwiczki na lewo.“ I po co my-mamy gdzieindziej szukać „baniek mydlanych“? *Czytelnik wielu pism.*

Upór chłopski.

Pożary, zwłaszcza z podpalenia, są jedną z najbardziej upowszechnionych u nas zbrodni. W r. 1887, według obliczeń centralnego komitetu statystycznego, dosięgły one aż 19,8% ogólnej liczby. Ponieważ w okresie między 1844 a 1851, czyli jeszcze za czasów pańszczyzny, było ich najmniej, a odtąd ciągle wzrastały, to dzisiaj część klęski, przypadająca na zbrodnię, sięgnęła już zapewne powyżej 19,8%. Ta plaga żywiołowa sroży się, jak wiadomo, najbardziej latem — w spiekotę, suszę i w czasie niedozoru wioskowego. Czas ten jest sezonem, ale tylko o tyle, o ile ona jest dziełem trafu. O ile zaś nią kieruje ręka zbrodni, owa pora posuwa się ku jesieni, bliżej do chwili, gdy stodoły napełnią się plonem. I kto wie, czy spóźnione pożary kilku osad (Wąchocka, Rakowa itd.) nie są właśnie dopełnieniem naszej zwykłej miary podpaleń. Bądź co bądź, pożary różnego pochodzenia są u nas klęską stałą: cierpi na niej mienie ludności i towarzystwa ubezpieczeń. Nadto, rozmiary zła są straszne i ściśle zależą od zaniedbania ozy postępu techniki ratunkowej.

Ta ostatnia przyczyna dałaby się usunąć: przez rozpowszechnienie śród ludu wiejskiego doskonalszych środków przeciwpożarnych i zaszczepienie mu sztuki ratunkowej. Ale wszystko to rozbija się o oporność chłopa, o jego bezwład zachowawczości i, co gorsza, o fatalizm opatrznościowy i może o skorupę starodawnego zabobonu. Próbkę spotkania się postępu z uporem chłopskim podaje korespondent *Gazety radomskiej* z Opoczyńskiego:

Władze poleciły, żeby wszystkie wsie zaopatrzyły się w ręczne lekkie, cynkowe, nowego systemu sikawki, po cenie 1 rs. 20 kop. za sztukę. Włościanie niechętnie godzili się z początku na ich nabycie, utrzymując, że są zbyteczne. Najwybitniejszym jednak wyrazicielem wstrętu wioskowego okazał się chłop Jan C. ze wsi Zakrzew, gminy Białaczow. „W chatach, w karczmie, przed kościołem i na zebraniach gminnych gromadzie całej objaśniał, że sprawienie narzędzi ogniowych — to proste wydzierstwo zapracowanego grosza, że ludziom na wsi takie rzeczy nie są potrzebne, że jak Pan Bóg zeszle ogień, to i sikawka nie pomoże.

— A juści kum prawdę mówią, co sikawka nie pomoże, bo wszyćko na świecie jest u Boga w mocy, zreśtą ja tam nie taki wielki fizyk, są tutaj i starsi i mądrzejsi, jak naprzykład mój sąsiad, to niech powiedzą, co oni myślą?..

— Moi chłopcy, juści z ogniem niema żartów, a władza od tego, żeby nacierać; Bóg zaś, jako ojciec nasz niebieski, a my jego grzeszne dzieci, będziemy się gnorowali ku jakiemuś respensu, a uchwały nie podpiszemy.

— Święta prawda — wykrzyknęła gromada. Na sikawki nikt się nie podpisze, a wójt, kiej chce, to niech zrobi raport i basta!

Tak więc, apostoł ciemnoty wziął górę. Ale władza, stosując się do przepisów prawa, narzędzia ogniowe zaprowadziła po wsiach przymusowo. Wkrótce potem (z 18 na 19 października) w tejże samej wsi zapaliła się w nocy jedna z chałup. W kilka minut wójt z pisarzem gminnym dostarczają dwie sikawki konne, 3 beczki, 3 osęki i 6 wiader. Do ratunku stają mieszkańcy. Skutkiem tego pożar, pomimo gęstych zabudowań i dachów krytych słomą, umiejscowiono. Co większa, budynki tego samego chłopa, który rozwinął tak silną agitacyę we wsi na niekorzyść środków przeciwogniowych, nieasekurowane i pomimo dwukrotnego zapalania się — ocalono. Po zażegnaniu niebezpieczeństwa, zażarty wróg postępu, C., padł do nóg wójtowi i pisarzowi i zaklął się na wszystkie świętości, że odtąd na zebraniach gminnych nigdy już więcej sprzeciwiać się nie będzie wprowadzeniu narzędzi ratunkowych i oświadczył, że na sikawki nie kilka kopiejek, ale nawet, gdyby żądano, całych dziesięciu rubli nie pożałuje.

Widzimy więc z tego, że w rzeczach, mających na celu niewątpliwą korzyść, upór chłopski, wynikający z niedojrzałości umysłowej, złamać może poglądowa lekcya ciężkiego doświadczenia. Sama zaś idea, niepoparta szorstką ręką okoliczności zewnętrznych, dostępna będzie tylko nielicznym wyjątkowo pojętnym jednostkom, ogólnej zaś bezwładności kmiecej — nie pokona. Pod tym względem zresztą dobre chęci kierować się winny przysłowiem narodowem: „mądry po szkodzie,“ które jest bardzo wymownem streszczeniem tej prawdy. Mądrość chłopska zjawia się nietylko po szkodzie, ale jeszcze bardziej wówczas, gdy się okaże, iż rozmiary tej szkody rozumna wola ludzka zmniejszyć może. *P.*

ODCZYTY.

Za temat do trzeciego z rzędu odczytu posłużył w ubiegłą sobotę p. Znatowiczowi fosfór, którego własności dość oryginalne i mało znane szerszemu kołu słuchaczów, znakomicie się nadają na wytworzenie zajmującej, bo urozmaiconej szeregiem efektownych doświadczeń prelekcyi.

Zaznajomiwszy publiczność z historyą odkrycia tego pierwiastku i zaznaczając istnienie fosforowych związków w przyrodzie nieorganicznej, z której ciało to dostaje się do organizmów roślin i zwierząt, tworząc ilościowo najpoważniejszą składową część kości, prelegent przypisał mu ważne znaczenie w ewolucyjnej drabinie tworów żyjących i przeszedł do okazania sposobu otrzymywania tego ciała. Dobywanie fosforu z kości przez działanie przy wysokiej temperaturze węgla na fosforan wapna mówca uzmysłowił szeregiem zabarwionych kulek, przedstawiających atomy pierwiastków, reagujących przy tym procesie.

Powinowactwo fosforu z tlenem uwydatniły samoistne zapalenie się papieru, zmoczonego rozczynem tego ciała w siarku węgla, olśniewające światło płonącego fosforu

---

*) Czytelników naszych winniśmy objaśnić, że p. Palmirski nie jest ochotnikiem, który nagle wyskoczył z „fantastycznem wypracowaniem“ i „stylistyczną plątaniną,“ ale poważnym i oryginalnym badaczem, w kołach przyrodniczych znanym z prac nad morfologią niższych skorupiaków. *Red.*

w atmosferze tlenu, świecenie się w ciemności pary fosforowej i oryginalne doświadczenie palenia fosforu pod wodą. Wspominając o związkach z wodorem mówca dotknął wyjaśnienia zjawiska tak zwanych błędnych ogników, w których ciemnota gminu upatruje postacie pokutujących po cmentarzach duchów i przeszedł do opisania allotropijnej postaci fosforu, zwanej czerwonym, kładąc nacisk na mniejszą zapalność tego ostatniego. Krótki szkic fabrykacyi zapałek szwedzkich i przytoczenie kilku cudzoziemskich nazwisk, znanych w historyi odkrycia fosforu, zakończyło trzeci wykład spopularyzowanych zdobyczy wiedzy przyrodniczej, budzącej, niestety, w szerszych kołach naszego społeczeństwa jeszcze nie bardzo uwydatniające się zainteresowanie.

Br. Wyganowski.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Na ogólnem zebraniu akcyonaryuszów Towarzystwa zakładów metalowych „B. Hantke" zatwierdzono kasę pomocy i przezorności dla urzędników i oficyalistów fabryk w Warszawie i Jekaterynosławiu. Towarzystwo przyjmuje obowiązek wnoszenia do kasy po 5% w stosunku do wynagrodzenia każdego uczestnika, bądź tytułem stałej pensyi, bądź gratyfikacyi. Przez cały czas pełnienia obowiązku. Przyrzeka wnosić ten procent wprost z kasy fabrycznej przy każdem wypłacaniu uczestnikom pensyi i gratyfikacyi. Przez cały czas służby każdy uczestnik obowiązany będzie wnosić do kasy składkę, wyrównywającą najmniej 5% od pobieranej pensyi i gratyfikacyi; nadto będzie mógł składać sumy nadobowiązkowe, jeżeli zechce. Kasa będzie miała prawo przyjmować ofiary dobrowolne od Towarzystwa akcyjnego i od osób trzecich. Uczestnikowi, dobrowolnie służbę opuszczającemu, lub od obowiązków uwolnionemu (tylko nie za nadużycia w służbie), kasa będzie wypłacać jednocześnie tytułem zapomogi dodatkowej, sumę odpowiednią do terminu służby: za sześć lat 30%, za ośm — 40%, 10 — 50%, 12 — 60%, 14 — 70%, 16 — 80%, 18 — 9[illegible], 20 — 100%. Towarzystwo z chwilą zatwierdzenia kasy wnosi jednorazowy zasiłek 1,200 rs.

— Ministeryum spraw wewnętrznych wniosło do Rady państwa projekt zmniejszenia porcyi żywności, wydawanej aresztantom.

— Dyrekcya Tow. kred. ziemsk. w Płocku wystawiła na pierwszą sprzedaż publiczną za raty zaległe 172 majątki w pow. lipnowskim 35, rypińskim 16, płońskim 26, sierpeckim 23, ciechanowskim 21, mławskim 20, płockim 19 i prasnyskim 12.

— Ma być ograniczona liczba adwokatów nie ruskich w gub. nadbałtyckich.

— Prąd emigracyjny, jak donosi *Warsz. Dniew.*, wśród mieszkańców gub. łomżyńskiej niezupełnie się jeszcze uspokoił. W ciągu października z dwóch powiatów wyemigrowało 12 osób (10 katolików i 2 żydów). Z tych wszystkich jeden tylko był żonaty, który pozostawił żonę i dzieci bez żadnych środków do życia.

— W ostatnich tygodniach do wielu fabryk w Zgierzu, Łodzi i Tomaszowie Rawskim zgłasza się mnóstwo robotników z zagranicy z prośbą o zajęcie (*Kur. warsz.*).

— Zmarły niedawno w Warszawie Władysław Peplowski zapisał 35,000 rs. kasie Mianowskiego z przeznaczeniem tego funduszu na wydawnictwa fachowych podręczników naukowych (*Wiek*).

— Liczba uczestników kas oszczędności w Warszawie (w zawiadywaniu Banku państwa) szybko wzrasta. Wobec tego, oprócz istniejących 5-ciu zaprojektowano otworzyć kilka nowych filij.

— Do 21 b. m. zebrano w Warszawie na rzecz ludności dotkniętej nieurodzajem 24,448 rs. 78 kop.

— Niezależnie od istniejącej instrukcyi dla inspektorów fabrycznych, poruszono sprawę sporządzenia planu ścisłej kontroli nad pracą małoletnich w fabrykach.

— Komisya senatu francuskiego przyjęła na żądanie ministra robót publicznych z małemi zmianami projekt ustawy kas pomocy dla robotników górniczych, przyjęty dawniej przez izbę deputowanych.

— Tow. gazowe w Augsburgu zaprowadziło dla stałych robotników swoich (po 3-letniej pracy) dodatek na mieszkanie 39 marek, który stopniowo zwiększać się będzie odpowiednio do lat pracy.

Szkoły. Według ustawy urzędów lekarskich, pomocnicy aptekarscy przy zdawaniu egzaminów na stopień prowizora obowiązani są między innemi składać świadectwa z odbytej w aptece praktyki trzyletniej. Ponieważ władze uniwersyteckie, nie zwracając wielkiej uwagi na termin praktyki, przyjmowały kandydatów w słuchaniu kursów, więc obecnie ministeryum oświaty wydało polecenie do wszystkich uniwersytetów, aby farmaceutów nie odpowiadających tym warunkom nadal nie przyjmowano.

— Kancelarya okręgu naukowego warszawskiego ogłosiła wykaz 86 stypendyów z zapisów prywatnych, dla uczniów, uczennic i studentów.

— Na dorocznym konkursie w petersburskiej Akademii sztuk pięknych, zostali nagrodzeni medalami srebrnymi następujący studenci: na wydziale architektonicznym: Karol Aquilino, Karol Baldi, Honwald, Józef Mazurkiewicz, Stanisław Nowakowski, Józef Sandecki i Julian Wasiutyński. Na wydziale malarstwa: Józef Balzakiewicz i Aleksander Wasilkowski.

Konkursy. Z trzech prac nadesłanych na konkurs *Gazety sądowej*, wyróżniono jedną, p. Władysława Ankiewicza, sekretarza wydziału hypotecznego w Miechowie.

— Towarzystwo zachęty sztuk pięknych urządza w styczniu r. p. konkurs malarstwa. Wyznaczono trzy nagrody: 600, 300 i 200 rs. Termin składania deklaracyi 15 grudnia, dostarczenia obrazów — 31 tegoż miesiąca.

Wypadek kolejowy. Niedaleko Orla z mostu nad rzeką Optuchą spadł pociąg. Ilość zabitych dotąd niewiadoma, w każdym razie znaczna.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 29. Дозволено Цензурою, Варшава 15 Ноября 1891 г. Redaktor i Wydawca dr. fil. A. Świętochowski.